

AS

Nr. 24.
11 SIERPNIA 1935 R.
CENA 40 GROSZY.

NA POMOC
ABISYNII

NASZ WIELKI KONKURS

NA

NAJPIĘKNIEJSZY UŚMIECH.

Nie wystarczy być piękną, by zdobyć palmę pierwszeństwa w naszym konkursie na „Najpiękniejszy uśmiech". — Trzeba przedewszystkiem posiadać fotogeniczną twarz, która na kliszy fotograficznej oddaje maksimum dodatnich cech danego typu. Prócz tego trzeba mieć wdzięk wrodzony, a nie sztuczny, bo ten ostatni raczej oszpeca twarz przykrym grymasem, niż dodaje jej uroku.

Wkońcu musi się każdy zdobyć na odrobinę autokrytycyzmu przy ocenie nadsyłanych nam zdjęć, a wtedy może choć w części liczyć na sukces. Bo Czytelnicy „Asa" — jak wynika z nadsyłanych nam głosów — dobrze się orjentują i są surowi w krytyce. Vox populi — vox Dei, choć ostatnie słowo będzie miało jury.

Głosujący znajdą kupon konkursowy na stronie 26 niniejszego numeru.



„Sylwa" — Skałat.



„Zu" — Wilno.

Poniżej: „Ziuna" — Lwów.



„Marysia" — Mościce.



„T. M." — Kołomyja.





„Duża Helenka" — Mosty Wielkie.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ.
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

Numer 24 **Niedziela 11 sierpnia 1935** **Rok I**

ASY NUMERU 24-go:



Wolne Miasto Gdańsk, powołane do życia przez traktat wersalski, by zapewnić Polsce wygodny dostęp do morza, zostało związane z naszym organizmem państwowym węzłem przedewszystkiem wspólnoty celnej, która stwarza specyficzne warunki dla tamtejszego rynku, niemal w zupełności zależne od naszej polityki gospodarczej. Prócz tego Gdańsk, pozbawiony zupełnie prawa utrzymywania samodzielnej służby dyplomatycznej, zastępowany jest na terenie międzynarodowym przez nasze placówki, zdany jest również na korzystanie tylko z naszych urządzeń kolejowych i musi na swem terytorjum tolerować funkcjonowanie oddziału poczty polskiej.

Mimo tych aż nazbyt silnych węzłów, obecne władze Wolnego Miasta zdecydowały się wejść na śliską drogę konfliktu z państwem polskiem, zrywając wspólnotę celną i tem samem znosząc gospodarczą granicę z Trzecią Rzeszą, która przez wstrzymanie przyrzeczonych kredytów wywołała właśnie krytyczną sytuację na terenie Gdańska.

Na zdjęciu: Motława, najważniejsza arterja wodna Gdańska, na której jeszcze niedawno panował ożywiony ruch towarowy.

W CZTERY OCZY
Z MONARCHĄ
NAJWIĘKSZEGO IMPERJUM ŚWIATA.



Konnica angielskiej gwardji królewskiej.
Rys. Haupt.

Jako nadworny fotograf Jego Królewskiej Mości Jerzego V. miałem nieraz sposobność poznać prywatne życie królewskiego dworu. Mogę też powiedzieć, że huczne przygotowania do uroczystości jubileuszowych króla stanowiły pewnego rodzaju przeciwieństwo normalnego i cichego życia angielskiego dworu. Napewno zarówno król, jak i królowa powrócili z całą satysfakcją po odbyciu uroczystości jubileuszowych do ulubionego pasjansa, który nieraz stawiają całemi godzinami. To też zdarzało się już nieraz, że przy tem zajęciu para królewska przesiedziała do 1-szej w nocy. Mimo to jednak król wstaje zawsze o godz. 6.15, a cały dwór królewski odznacza się wielką punktualnością.

Gdy więc pewnego razu ks. Walji spóźnił się o jakieś 10 minut na okłację, wywiązała się między nim, a jego dostojnym ojcem następująca rozmowa:

— Czy wiesz, że przyszedłeś o dziesięć minut zapóźno? — zapytał król.

— Wiem, Najjaśniejszy Panie — odparł „speszony" książę.

— I że musiałem dziesięć minut na ciebie czekać?

— Owszem, Najjaśniejszy Panie.

— Co możesz powiedzieć na swoje usprawiedliwienie?

— Właściwie... tylko to, że wyszedłszy z kąpieli usłyszałem hymn i musiałem oczywiście spokojnie stać na baczność przez kilka minut...

Również bardzo ciekawą rozmówkę między królem, a lordem Dynevor usłyszałem w zamku Balmoral, gdzie znajdowałem się z tytułu moich funkcyj urzędowych podczas polowania. Około południa zwrócił się król podczas chwili wypoczynku od reprezentacyjnych zajęć do lorda ze słowami:

— Czy pan już pisał do swej żony?

— O, tak, Najjaśniejszy Panie. Pisuję zwykle dwa razy tygodniowo, gdy jestem w domu nieobecny.

Tak? Wie pan, ja osobiście piszę codzień, gdy jestem w podróży.

Odpowiedź lorda na te słowa była nadwyraz charakterystyczna dla atmosfery panującej na dworze angielskim.

— Dla Pana, Sire, to fraszka, bo W. Kr. Mość nie frankuje listów!

Tylko mało osób zna ulubione miejsce pobytu króla, gdy znajduje się w Balmoral. Stoi tam w odległości mniej więcej mili od Aboyne mały domek wiejski, otoczony krzakami i drzewami. Właściciel tego domku już nie żyje, a klucze jego mają swoją specjalną historję. Ilekroć dwór angielski przebywa w Balmoral, w domku zjawia się służący dworski, który ma za zadanie przygotowanie wszystkiego do herbaty dla króla. Często zachodzi tam też sama królowa w towarzystwie damy dworu, lub też z księciem Yorku. Podobne zwyczaje obserwuje dwór angielski również



Królowa Wiktorja (w środku) w otoczeniu rodziny — na lewo od niej król Jerzy V. w wieku dziecięcym.

w innych swych rezydencjach. Np. w okolicy Sandringham istnieje podobny domek wiejski, do którego zagląda nieraz królowa Aleksandra.

Wszystkim swoim gościom, którzy odwiedzają króla Jerzego w Balmoral, darowuje on laskę ze swym monogramem, co również należy do zwyczajów monarszej rodziny. Pochodzi to z czasów króla Edwarda, który był wielkim miłośnikiem lasek, przekazując to zamiłowanie swemu synowi.

Oryginalny wypadek zdarzył się, gdy król w towarzystwie gen. Monday odwiedzał pewnego razu baraki wojskowe. Żołnierz stojący na odwachu, nie poznał ani króla, ani też jego towarzysza, gdyż byli w cywilnych ubraniach. Generał rozzłoszczony tem zajściem, skrzyczał żołnierza i wymienił swoje nazwisko. Uparty żołnierz jednak oświadczył:

— Znam tylko rozkaz moich przełożonych i djablo mało mnie obchodzi, kim pan jest, czy generałem Środą, czy Czwartkiem. — Odpowiedź ta, będąca aluzją do nazwiska generała, brzmiącego podobnie, jak Poniedziałek = Monday ubawiła serdecznie króla, który lubi dowcipną i prędką odpowiedź.

Tylko bardzo niewiele osób wie, że król posiada na jednej ręce tatuaż, pochodzący jeszcze z czasów, kiedy był marynarzem. Również mało jest znanem, że pedicure robi królowi kobieta. Pokój sypialni króla Jerzego posiada olbrzymie łóżko i sofę, do niego zaś przytyka gabinet, w którym w dużych szafach znajdują się ordery — pamiątki z czasów króla Edwarda I. Szaf tych jest 18 i wszystkie zapełnione są pamiątkami, których cena jest olbrzymia, gdyż znawcy obliczają ją na ćwierć miljona funtów szterlingów. Niebywale cennym jest również zbiór znaczków pocztowych, znajdujący się w osobnej sali, którą często król odwiedza. Najdroższą marką ze zbiorów jest czarny znaczek 1-pensowy z r. 1841, którego wartość obliczają na 1000 funtów.

Mając sposobność robienia szeregu zdjęć w pałacu Buckingham mogłem sobie zdać sprawę o wielkości tej rezydencji. Gdy np. królowa każe przenieść pewien me-

Poniżej:
Angielska para królewska w insygnjach i szatach Orderu Podwiązki.





Pojazd królewski w pochodzie jubileuszowym. *Rys. Haupt.*

bel z jednego pokoju do drugiego na czas porządkowania go, fotografuje się go natychmiast, aby wiadomem było, gdzie następnie ma stanąć. Fotosy takie składane są potem w osobnych albumach w celach „katalogowych".

Często czytuje się w gazetach o ulubionym napoju króla, którym według jednych jest herbata, według innych kawa, whisky, lub portwein. Lecz to wszystko są fantazje, gdyż właściwie król najchętniej pija kakao. Będąc na jednem z polowań królewskich, prosiłem służącego o jakikolwiek napój, gdyż miałem ogromne pragnienie. Wobec tego, że poza resztką kakao pozostałego ze śniadania, nie było żadnych napojów, wypiłem, co mi zaofiarowano. Wkrótce potem król zażądał szklankę kakao! Nie pozostawało nic innego, jak uciec się do niewinnego kłamstwa i oświadczyć królowi, że całe kakao już wypił. Nasza argumentacja jednak nie zdawała się go przekonywać.

Wielkie zamiłowanie posiada królowa angielska dla starożytności, to też zbiory zamkowe zawdzięczają jej bardzo wiele. Tak np. przyczyniła się ona w wysokim stopniu do wzbogacenia zbiorów z czasów Wiktorjańskich w „Victoria and Albert Museum".

Z nabytków królowej należy wymienić wśród wielu innych cenny kałamarz w postaci kapelusza Napoleona I., jako też szereg pamiątek z wyspy św. Heleny.

Najciekawsze bodaj przeżycie, jakie miałem w otoczeniu królewskiem wydarzyło się na Pall Mall. Podczas przejażdżki króla z pośród publiczności wyskoczył naraz pewien marynarz i stanął na stopniu powozu. W kilka sekund później gwardziści towarzyszący królowi odpędzili natręta, co spowodowało go do wykrzyknięcia: „Walczyłem za mego króla i moją ojczyznę. Czyż nie mam prawa z nim jechać?". Ku wielkiemu zdziwieniu otoczenia, król najspokojniej odparł: „Bezwzględnie, że masz prawo. Proszę, siadaj przy mnie!".

Król angielski odznacza się wielką przytomnością umysłu, której nie traci nawet wobec nieprzewidzianych incydentów. Gdy np. na wielkiej wystawie londyńskiej, po skończeniu oficjalnych uroczystości z tłumu wyszedł pewien osobnik i zbliżywszy się do króla, poklepał go po ramieniu i rzekł:

— Hallo, królu, czy chce pan mi podać rękę? — król chwilę jedynie zastanowiwszy się podał ją Amerykaninowi, gdyż ów dziwny gość wystawowy był obywatelem U. S. A. — Podając rękę, rzekł król:

— How do you do? Czy pan przyjechał na wakacje do Londynu?

— Oczywiście — brzmiała odpowiedź Amerykanina, który następnie przywołał swego syna i rzekł do króla:

— To jest mój syn. Podaj Panu rękę! — dokończył, zwracając się do syna.

Rozpoczęło się typowe amerykańskie „shake-hand'owanie, które otoczenie króla wprowadzało w przerażenie. Pomówiwszy kilka minut z Amerykaninem król angielski rzekł do niego wkońcu:

— No, teraz już muszę iść dalej, lecz mam nadzieję, że się pan tu będzie dobrze czuł. Good-bey!

Gdy król Jerzy V. przemawia w czasie świąt Bożego Narodzenia do swych ludów, instalują w zamku w Buckingham apart radjowy, zrobiony ze złota i srebra, który służy jedynie królowi. Przytwierdzona do aparatu srebrna płytka informuje o dacie przemówień królewskich. Było ich dotychczas jedynie pięć.

Specjalnością królowej w zakresie gospodarstwa domowego jest cerowanie pończoch, oczywiście tylko jeżeli chodzi o małe usterki. Królowa jest wogóle bardzo oszczędną i zwraca uwagę na utrzymanie wielkiej dyscypliny wśród służby, co przy tak wielkiej jej ilości jest rzeczą konieczną.

Punktualnie o godzinie jedenastej przynoszą królowi zupę na złotym talerzu, który darował mu książę Walji podczas uroczystości koronacyjnych, a ta punktualność cechuje wszystkie zdarzenia w życiu domu królewskiego.

Mogąc się przyjrzyć życiu rodziny królewskiej, stwierdziłem naocznie, jak wiele z obiegających prasę całego świata wiadomości jest fałszywych lub przekręconych. Życie dworu angielskiego i rodziny królewskiej jest ogółem biorąc nadwyraz proste, a cały przepych i ceremonjał historyczny występuje dopiero z okazji wielkich wydarzeń państwowych. Mimo to jednak i ten skromny tryb życia jest ściśle uregulowany i wszystko rozwija się tam według zgóry ułożonego planu.

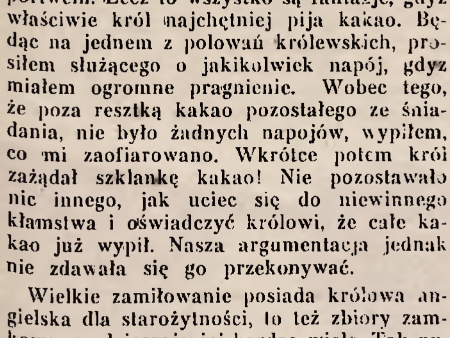
J. G.



Król Jerzy i jego synowie ks. Kentu i ks. Yorku.

Poniżej: Ks. Walji w karykaturze przedstawiającej go jako globtrottera.





Pałac Buckingham w Londynie.

AS TENISU
MÓWI
najdramatyczniejszy moment w mem życiu...



ELLSWORTH VINES.

Gdy w ubiegłym tygodniu spacerowałem w pogodny wieczór nad morzem w Sopotach, gdzie różnobarwny tłum przewijał się tęczową wstęgą w mieniącem się świetle wspaniałej fontanny Kurgartenu, a orkiestra gdańskiej Schupo z zapałem wygrywała wspaniałe melodje z operetek „stuprocentowego aryjczyka“ Kalmana — nagle, od strony polskiego wybrzeża rozległy się głuche strzały armatnie, którym już po chwili zawtórował warkot unoszących się na znacznej wysokości samolotów. Długie smugi świateł reflektorów ścigały po atramentowem niebie smukłe ich sylwetki, a one, niby mewy spłoszone promieniami wschodzącego słońca, umykały na lotnych swych skrzydłach w dalekie przestworza, by tam skryć się bezpiecznie w cieniu nadciągających chmur.

— *Polnische Geschütze gegen Danzig!* (polskie armaty na Gdańsk!) — padły tuż koło mnie słowa, nacechowane trwogą. Obróciwszy się ujrzałem grupkę osób, wśród których rozpoznałem mieszkańców pobliskiego Langfuhru, stałych bywalców na sopotskiej plaży. Całe to towarzystwo urywanemi zdaniami prowadziło rozmowę na temat trwającego konfliktu wolnego miasta z państwem polskiem i widać było, że daleki pomruk naszych dział, dolatujący z półwyspu helskiego, wywierał na nich piorunujące wrażenie.

Tymczasem już nazajutrz sytuacja na „gdańskim froncie wojennym“ uległa sensacyjnej zmianie. Oto stroną atakującą okazała się... Ameryka, a raczej Stany Zjednoczone, wysyłające straszliwe bomby na Niemcy, w postaci fantastycznego serwisu Ellswortha Vinesa, tenisowego mistrza świata, który na idealnym korcie sopotskiego klubu rozgrywał mecz z najlepszym zawodowcem Rzeszy, Nüssleinem. I nie pomogły heroiczne wysiłki świetnego Kalifornijczyka, przyzwyczajonego do innych warunków atmosferycznych (przez cały czas spotkania padał, chwilami nawet ulewny deszcz) i porządnie zmęczonego podróżą. Uległ niezwykle w tym dniu dysponowanemu Niemcowi w trzech, krótkich stosunkowo setach i tylko w ostatnim pokazał swój lwi pazur, który go wyniósł na szczyty Wimbledonu. Wspaniałe pod względem taktycznym zagrania, drive'y o niezwykłej sile z głębi kortu, plasowane świetnie po rogach, potem błyskawiczne voleye, a wreszcie serwa i smath, wywołujące entuzjazm na trybunach, przekonały największych nawet sceptyków, że mecz ten nie był widowiskiem cyrkowem, lecz serjo traktowanem spotkaniem prawdziwych „asów“ białego sportu.

* * *

Korzystając z pobytu Vinesa w Sopotach, odwiedziłem go w hotelu i na zadane pytanie, który moment w swem bujnem życiu uważa on za najdramatyczniejszy, usłyszałem z ust młodego mistrza następującą opowieść:

Było to w roku 1932, gdy w finale turnieju wimbledońskiego pokonałem po nadzwyczaj emocjonującej walce przemiłego Bunny'ego Austina i zdobyłem nieoficjalne mistrzostwo świata, może więcej upragnione przez mego genjalnego nauczyciela Tildena, niż przezemnie samego. Koledzy moi z Ameryki urządzili mi wtedy owację, od której bębenki w uszach mogły popękać i przedstawili mi młodą studentkę z U. S. A., moją wielką, jak mówili adoratorkę. Dziewczyna odrazu przypadła mi do gustu. Wkrótce zaręczyliśmy się, a w jesieni tego samego roku odbył się nasz ślub. W podróży poślubnej zajechaliśmy aż na Hawai, gdzie tamtejsza kolonja amerykańska wysilała się, by nam jaknajbardziej uprzyjemnić pobyt na tej chyba najpiękniejszej wyspie na świecie.

Powyżej: Vines w czasie meczu, w którym zdobył mistrzostwo Wimbledonu.



Na prawo: Tilden, słynny mistrz rakiety, nauczyciel Vinesa i jego pogromca Nüsslein, znany zawodowiec niemiecki. Poniżej: Fragment Sopot, znanej miejscowości kąpielowej, w której odbył się ostatnio mecz pomiędzy Vinesem a Nüssleinem





Poniżej: Vines i jego żona, po przybyciu do Honolulu.

Tradycyjnym zwyczajem ubrano nas w Honolulu w imponujące wieńce z kwiatów i po okolicznościowych przemówieniach wprowadzono z pompą do miejscowego klubu tenisowego, gdzie tego wieczoru odbyło się wspaniałe przyjęcie. Wkońcu jednak mieliśmy dosyć tych wszystkich uroczystości, a żona moja, zapalona sportsmanka postanowiła spędzić pozostałe do odjazdu chwile w jakiejś zacisznej nadmorskiej wiosce.

Pewnego dnia wybraliśmy się łodzią na przejażdżkę po morzu. Pogoda panowała cudowna i niezwykle upalna. W dali płynęły dwa jachty, których białe żagle odcinały się jasnemi plamami na tle błękitu nieba. W niewielkiej odległości od nas kręciły się lodzie krajowców, których smętne, zmysłowe pieśni zlewały się z cichym poszumem fal. Jeszcze na brzegu zrzuciliśmy nasze ubrania i w samych kostjumach kąpielowych wiosłowaliśmy zapamiętale wprost na otwarte morze. Zdawałem sobie sprawę z ryzyka takiej wyprawy na wątłej łupince, choć z drugiej strony zapewnienia naszego gospodarza o trwałości pogody nie wróżyły nam złego powrotu. Tymczasem już po dwóch godzinach takiego cudnego wałęsania się po wodzie bez celu, gdy znajdowaliśmy się w odległości przynajmniej półtorej mili od brzegu, w miejscu, gdzie nie przechodzi żadna linja okrętowa — nagle zerwał się silny wicher, który odrazu zwiększył fale i zaczął rzucać naszą łodzią niczem jakąś zabawką.

W takich warunkach rozpoczął się nasz wyścig ze śmiercią. Może pan sobie wyobrazić moje przerażenie, gdy po godzinie beznadziejnej walki z wściekłym żywiołem spostrzegłem, że bynajmniej nie jesteśmy bliżej brzegu. A tu tymczasem jasny dotąd horyzont zaległy zwały brunatnych chmur, które wskazywały na nadciągającą, wielką burzę. Ostatnim wysiłkiem woli chwyciłem za wiosła i jak szalony począłem smagać niemi powierzchnię falującego oceanu. Napewno śmieje się pan teraz w duchu ze mnie, z tego dziedzinnego wprost pomysłu. Ale co miałem robić? Żona, jak przystało na dzielną kobietę, w niczem nie okazywała trwogi, choć właśnie wtedy padły pierwsze krople deszczu, a huk piorunów mógł wytrącić z równowagi najśmielszego nawet żeglarza, płynącego nie tak, jak my, na małej łupince, ale na transatlantyckim kolosie.

Wreszcie na widnokręgu, za gęstą zasłoną deszczu zamajaczyły kontury jakiegoś lądu. Jak się później okazało, była to wyspa Molokai, do której zostaliśmy formalnie zapędzeni przez huragan. Wracający w popłochu w swych czółnach tubylcy znaleźli nas zupełnie wyczerpanych w łodzi, która już tonęła, zalewana raz po raz przez piętrowe fale. Im zawdzięczaliśmy nasze ocalenie z tego prawdziwego piekła.

Powiem panu szczerze, że ten właśnie moment w mem życiu uważam za najdramatyczniejszy. Nie dlatego, że chodziło o moje życie. Myślałem tylko o żonie.

Tem wymownem wyznaniem zakończył Vines swe dramatyczne opowiadanie, które nawet w ustach takiego człowieka, jak on brzmiało niczem jakiś fantastyczny romans. Na zakończenie mojej wizyty zadałem mu jeszcze parę pytań, a z odpowiedzi na nie dowiedziałem się, że t. zw. cyrk Tildena, do którego Vines również należał, przeszedłszy na profesjonalizm, rozleciał się dosłownie na wszystkie strony świata i jego dawni „aktorzy" pracują obecnie na własną rękę. Nüsslein został zaangażowany na kilkutygodniowy trening do Sopot i on to ściągnął Vinesa nad Bałtyk. Wynik meczu bynajmniej nie zmartwił Kalifornijczyka. Ma on niepłonną, jak wyraźnie zaznaczył, nadzieję otrzymania zaproszenia przez któryś z ośrodków tenisowych naszego kraju na rozegranie spotkania z „upartym" Niemcem, którego obiecuje sobie „rozłożyć" na oczach polskiej publiczności. I na ten rewanż z góry już się cieszy. *Juljusz Leo.*



PANI ★ MOŻE BYĆ CZARUJĄCĄ I MŁODĄ JEŻELI...

WYWIADY „ASA" Z GWIAZDAMI EKRANU I SCENY

Piękność polega na podkreślaniu kontrastów — powiedziała mi Jean Harlow, kobieta, która odpowiedzialna jest za to, że odwiodła blondynki od standartu złota, wprowadzając je w obręb panowania... platyny.

— No i cóż z blondynkami? — rzuciłam następujące pytanie.

— Nie można być blondynką od stóp do głów. Blond włosy, blond brwi i blond rzęsy? Blondynka winna malować brwi na ciemno i tak samo rzęsy, by tworzyły kontrast z jasnemi włosami. Niech nigdy nasz wygląd nie staje się monotonnym przez swą jednobarwność. Blondynki muszą używać różu, pomadki do ust, cieniować oczy — wogóle stosować wszystkie rodzaje makilażu— jeżeli chcą wydobyć jaknajwięcej cech swojej jasnej urody.

Jean Harlow — ta oryginalna i pierwsza blondynka platynowa, ma zgrabną figurę. Włosy jej, sławne na cały świat, błyszczą się srebrzyście i mają ten odcień, który najlepiej wychodzi w świetle jupiterów i na srebrzystym ekranie.

— Nastrój, rzecz jasna, wpływa na wyraz twarzy. Żadne sztuki nie mogą nadać oczom blasku prawdziwego szczęścia, ani wargom tej linji, by przykuwała na sobie uwagę widzów.

„Make-up" (możnaby to określić jako „zrobienie twarzy"), jest rzeczą bardzo ważną, ale jeżeli nie włoży się dostatecznie dużo własnej indywidualności w uśmiech, będzie się miało wygląd lalkowaty — przesada, w którą bardzo łatwo popadają blondynki. Oczy muszą wyrażać zdrowie i radość dla życia. Bez względu na to, co się dzieje, powinnyśmy pokazywać światu naszą „najlepszą twarz". Sądzę, że posiadamy najróżniejsze wyrazy twarzy, zależnie od pory dnia, czy nocy, humoru, zmęczenia itd. Musimy wybrać najlepszy wyraz i „nosić go" przez cały czas.

To jest może rzecz, na którą słynne gwiazdy zwracają większą uwagę, niż kobiety, mające mniej błyskotliwe zajęcia, np. w domu, czy wreszcie w biurach. Gwiazda filmowa nie powinna mieć nigdy chwili, w której nie zwraca uwagi, jak wyglądają jej włosy, nie może mieć momentu, w którym niema czasu na „zrobienie twarzy" albo dnia, w którymby mogła nosić stare suknie. Gdziekolwiek idzie, znają ją ludzie z obrazów filmowych. Znajduje się ciągle, w każdem miejscu w ogniu krytycznych spojrzeń.

Jean Harlow ze swym ulubieńcem.



W Hollywood, gdy Jean Harlow opuszczała bramę studja, słyszałam takie uwagi:

— Oto Jean Harlow — zawołała młoda entuzjastka kina, trzymając w ręku pamiętnik, z którym zbliżała się do aktorki. Potem powiedziała: Przecież ona jest ładniejsza, niż na filmie.

Tego nie można powiedzieć o wszystkich gwiazdach filmowych.

Powtórzyłam to zdanie Jean Harlow. — Uśmiechnęła się skromnie i rzekła: „Może to dlatego, że nigdy nie zaniedbywam „zrobić się", gdy wychodzę na ulicę i to z taką samą troskliwością, jakgdybym to czyniła w studjo, w czasie nakręcania filmu.

Wirginja Vincent.

FELIKS DANGEL.



SPORT GENTLEMANÓW



Na prawo: Sztuczna rybka spinningowa. *Rys. F. Dangel.*

Gdy w roku 1915, w czasie bombardowania przez armję niemiecką sławnego miasta Reims, eksplozje granatów kruszyć poczęły filigranowe łuki i wiązania gotyckiego tumu tego miasta, jeden z obecnych we francuskim sztabie oficerów angielskich, rzucił pełne oburzenia słowa:

— Ostrzeliwać taką świątynię jest takiem samem barbarzyństwem, jak łapanie pstrąga na robaka.

W oryginalnem tem może, dla mieszkańca kontynentu porównaniu, mieściło się całe, głębokie potępienie rasowego sportowca-gentlemana, który sportowe wędkarstwo, tak bardzo popularne na wyspach Albionu, do poziomu kultu omal-że doprowadził, otoczył całemi tomami kanonów przepisowych, ucywilizował i wysubtelnił.

Wędkarstwo sportowe, tak bardzo popularne u nas, a spotykane najczęściej jako sport bardzo prymitywny, doprowadzone do maestrji wszędzie na zachodzie, z niezrozumiałych powodów, na lekceważenie i marginesowe traktowanie w Polsce zasłużyło, najczęściej jako nudne i nieproduktywne spędzenie czasu traktowane.

Na bulwarach miast, położonych nad brzegami rzeki, w niedzielne popołudnia spotykane szeregi wędkarzy dorosłych, bądź chłopców, z leszczynowemi, bądź bambusowemi tykami w ręku, są dla ogółu ludzi, ludzi zabierających głos o wędkarstwie, ideałem wędkarza, który w dyspucie na lekceważenie zasługuje, gromy pogardy przenosząc dla tego jednego z najszlachetniejszych po łowiectwie i hippice sportów.

Mówiąc o wędkarstwie, mamy na myśli godzinowe sterczenie nad zwykle bezrybną tonią, z tyką drewnianą w ręku, na końcu której u przymocowanego sznura, moknie w wodzie dżdżownica, nasadzona na haku. Bezpłodnie i milcząco trawiący czas nad wodą, z podobnym przyrządem w ręku, człowiek jest typem wędkarza, o którego cierpliwości ma się coprawda wysokie mniemanie, lecz o władzach umysłowych, równie wielkie zastrzeżenia.

Sport jednak wędkarski, takim jakim jest w rzeczywistości, różni się od nieruchomych seansów nad wodą tak zasadniczo, jak i sportowy ekwipunek naszego znajomka z nad bulwaru rzecznego, od precyzyjnego i wielce skomplikowanego rynsztunku prawdziwego sportowca-gentlemana. Zasadą bowiem wędkarza sportowca jest ustawiczny ruch nad wodą, ustawiczne lustrowanie wodnej knieji, ciągłe zarzucanie przynęty tam, gdzie ryba znajdować się powinna, nieustająca uwaga i gimnastyka myśli, zmiana miejsc i natężenie wzroku, co w sumie, prawdziwe wędkarstwo upodabnia do bratniego łowiectwa, dając w rezultacie ogromną skalę zadowolenia takiego, jakiego doznaje sportsman z pod znaku świętego Huberta, po zręcznym strzale.

W ostatnich latach ubiegłego stulecia poczyniono pierwsze próby, najpierw w Anglji, a następnie we Francji, łowienia ryb przy pomocy sztucznej przynęty, zmontowanej na haczyku. *Dokończenie na str. 31-ej.*





Powyżej od lewej: Muchy na pstrągi. — Angielska mucha na łososie. *Rys. F. Dangel.*



Na lewo: Bystra, o kamienistem dnie rzeka, to raj dla pstrągów. *Fot. F. Dangel.*



Poniżej: Wędka spinningowa z rybką „Devonem". *Fot. F. Dangel.*



„KOSMOZEGAR"

JULJUSZ MIEROSZEWSKI — **NOWELA** — **ILUSTROWAŁ A. ŻMUDA**

Gog za kilka dni miał opuścić Amerykę. Benrubi wyjechał już nawet do Nowego Jorku i oczekiwać miał swego szefa na pokładzie „Arizona". Rokowania z Union Film Corporation rozbiły się i Gog znów niepodzielnie dysponował swoim czasem. Benrubi, mistrz w zwoływaniu nudnych i długich posiedzeń, ustawicznie wietrzący za interesami, dokładny i pedantyczny, był raczej nużącym towarzyszem. Wytwarzał wokół siebie zamęt i pośpiech — dniem i nocą nadawał i odbierał depesze i kablogramy — dyktował dziesiątki listów i zamęczał Goga pytaniami, na które miljoner przeważnie nie umiał odpowiedzieć.

We wtorek o 6-stej wieczorem prezes trustu UFC, dr. Filpolt zmarł na atak serca. Rokowania przerwano, akcje UFC wykazały w dniach następnych kurs nieco napięty — Benrubi zadecydował, że należy kilka miesięcy przeczekać.

Gog siedział na terasie swej willi i pił śniadanie. Pogoda była piękna, a powietrze nasycone deszczem, który padał w nocy przez kilka godzin — nie straciło jeszcze swej jędrnej świeżości. Białe bloki domów i will, gęstniejące w perspektywie szerokiej avenue, miały jasno niebieski, włoski odcień. Upał kołysał się jeszcze leniwie pod bezchmurnym zenitem.

Namiot z białego żaglowego płótna, rozpięty nad terasą, chronił miljonera od przykrych refleksyj. Właśnie wypił szklankę soku z grape-fruit'ów z lodem i przysunął sobie talerz z szynką, gdy siedzący obok inżynier Lack roześmiał się głośno i podsunął mu złożoną płachtę „Los Angeles Evening Herald and Express" — wskazując palcem na drobne ogłoszenie. Gog rzucił okiem i roześmiał się również. Na samym końcu długiej kolumny reklam przeróżnych sekt, kościołów, jogów i proroków, znajdowało się drobne ogłoszenie następującej treści: „za pół miljona dolarów przepowiem przyszłość świata... Prof. Neverson — 8. aven. 197".

— To jest możliwe tylko w Ameryce! — rzekł Lack, odkładając dziennik.

— Ściślej mówiąc w Los Angeles — wtrącił Gog, nie przerywając jedzenia — Przecież tak zorganizowanego przemysłu wyznaniowego, posługującego się aparatem nowoczesnej reklamy, niema chyba nigdzie. W każdym numerze jakiegokolwiek tutejszego dziennika znajdziesz dziesiątki reklam rozmaitych kościołów, z programem nabożeństw i kontem bankowem ich właścicieli.

— Niewątpliwie — przytaknął inżynier.— A ponieważ pewien mędrzec powiedział, iż o nieskończoności najlepsze wyobrażenie daje rozmiar ludzkiej głupoty — nic więc dziwnego, że tu właśnie najwięcej mówi się o nieskończoności i wieczności.

Gog z apetytem spożywał swe śniadanie, przechodząc systematycznie od jednej do drugiej potrawy. Gdy po upływie pół godziny zapalił cygaro — wyraz jego oczu świadczył o doskonałem samopoczuciu i pragnieniu rozrywki.

— Wiesz Lack! — trącił w łokieć zaczytanego inżyniera — zainteresował mnie ten profesor. Pół miljona dolarów, to dosyć oryginalne!

— Eh! — zwykły naciągacz! — za dolara przepowie wszystko, czego pan zażąda.

Sceptycyzm inżyniera nie podobał się miljonerowi. Jego otoczenie nie rozumiało zwykle, że i on pragnie się czasem zabawić.

— Mimo wszystko zainteresował mnie ten typ! Jak się on nazywa?

Lack po chwili odszukał ogłoszenie.

— Neverson — 8 aleja 197. Oczywiście pragnie go pan zobaczyć? — uśmiechnął się inżynier. —

— Zgadłeś Lack! Patrz, tak jest rozkosznie tu na tej terasie, widok przepyszny, chłód. Do lunchu jeszcze wiele czasu. Tutejsi dziennikarze nie pozwolą mi na najmniejszy spacer samochodem...

— Więc cóż — sprowadzić tutaj tego matołka?

— Naturalnie, i to natychmiast! — roześmiał się Gog głośno. — Mam przeczucie, że trud się opłaci i zabawimy się doskonale.

Inżynier wolno nabijał fajkę. Z wyraźną niechęcią decydował się na opuszczenie tej przewiewnej terasy.

— Weź samochód i lepiej nie wymieniaj mojego nazwiska. I tak już mam opinję największego dziwaka i fantasty.

Lack otoczył się kłębami dymu, poprawiając krawat.

— A czy nie byłoby lepiej... — zaryzykował nieśmiało.

— Nie nudź! — przerwał kategorycznie Gog.

Lack wstał i z żalem opuścił terasę. Zdawał sobie jednak doskonale sprawę, że wszelka perswazja byłaby daremną. Gog w realizacji swych kaprysów i zachcianek wykazywał niezłomny upór. Inżynier schował fajkę do kieszeni i zbiegł po schodach do ogrodu.

Po chwili sportowy Packard wysunął się cicho na ciepły asfalt jezdni. Przemknęli przez kilkukilometrową aleję, minęli sławne przedmieście filmowe Hollywood i po upływie półgodziny, zatrzymali się przed małym domem.

Lack wysiadł i zapytawszy w bramie o numer mieszkania pana Neversona, wyjechał windą na piąte i ostatnie piętro. Zapukał energicznie do drzwi. Oczekując na zaproszenie z wnętrza, zauważył w duchu, że gentleman, który jest zmuszony mieszkać tu pod samym dachem, często zapewne marzy o pół miljonie dolarów.

— Proszę — odezwał się tubalny głos.

Równocześnie odsunął się elektryczny zatrzask przy drzwiach. Lack przestąpił próg i znalazł się w niewielkim pokoju, zasłoniętym do połowy fjoletową portjerą, spływającą od samego sufitu.

— Witam pana! — odezwał się profesor Neverson, chudy i kościsty starzec w zielonawych spodniach, przepasanych gumowym paskiem. Od pasa w górę profesor Neverson był szczerym nudystą.

— How do you do — mruknął Lack i odchrząknął.

— Proszę, oto krzesło! — profesor podsunął gościowi drewnianą paczkę.

— Dziękuję! Pan umieścił ogłoszenie w „Los Angeles Express"?

— Tak — potwierdził spokojnie uczony nudysta.

— Hm... możeby pan zechciał mi udzielić pewnych informacyj. Jestem sekretarzem bogatego gentlemana, który miewa rozmaite kaprysy.

Profesor Neverson stał wyprostowany, jak posąg z rękami skrzyżowanemi na nagiej piersi.

— Informacyj mogę udzielić tylko owemu gentlemanowi — odezwał się po chwili namysłu.

— „Tępy idjota!" — pomyślał Lack. Głośno zaś odezwał się z przesadną uniżonością:

— Na dole czeka mój samochód — możeby pan był łaskaw udzielić audjencji Gogowi.

Profesor Neverson podskoczył jak piłka w górę i opadłszy na ziemię wykonał kilka przysiadów, przy rytmicznym akompanjamencie dziwacznych okrzyków. Po kilku sekundach wyprostował się i z galanterją otworzył drzwi.

— Please, sir!

Zjechali w dół windą i po chwili mknęli sportowym Packardem. Lack lubował się w duchu sceną, gdy połowiczny nudysta przepasany kąpielowym paskiem, zleci z terasy wprost do basenu. Gog lubił bowiem takie niewinne żarty. Gdyby się był urodził w czasach starożytnych uchodziłby napewno za wielkiego przyjaciela zwierząt; niejednego lwa przyżywiłby ludzką polędwicą. Natomiast profesor Neverson trwał jeszcze

w ekstazie. Nazwisko „Gog" wielu ludzi przyprawiało o zawrót głowy.

Packard przystanął. Lack wysiadł pierwszy, a za nim wyskoczył zwinnie profesor Neverson. Po kilku sekundach stanęli w drzwiach werandy. Gog przyrządzał sobie właśnie whisky z lodem.

— Profesor Neverson! — zaanonsował gościa inżynier Lack. Półnagi starzec lekko się skłonił. Gog przygryzł nieznacznie dolną wargę, hamując wybuch śmiechu. Najwyraźniej podobał mu się ten nowy „pawjan" — jak zwykł określać swe ofiarne kozły.

— Więc pan podejmuje się przepowiedzieć przyszłość świata, za stosunkowo umiarkowaną sumę pół miljona dolarów — rozpoczął poważnym tonem miljoner, popijając whisky.

— Nie, sir. Przepowiedzieć nic nie potrafię, mogę natomiast naukowo stwierdzić przyszłość naszego globu.

— No tak, ale panu znane są przyszłe losy naszej ziemi — czyż nie?

— Nie — odparł z prostotą Neverson. — Potrzebne mi są środki pieniężne do budowy zegaru wszechistnienia.

— Kosmozegaru powiedzmy — uśmiechnął się Gog życzliwie. — Na czemże ten pożyteczny przyrząd polega?

— Sir, to jest bardzo skomplikowana sprawa...

— Nic nie szkodzi — odparł łagodnie Gog. — Lack! — przygotoj dla pana profesora whisky. No, słuchamy!

Neverson usiadł na wyplatanem krześle i rozpoczął swój wykład następującem zdaniem, wypowiedzianem między dwoma łykami lodowatego płynu:

— Wszystko na świecie dzieje się w czasie...

— Zupełnie słuszna uwaga — potwierdził z przekonaniem Gog.

— Czas — podjął powtórnie profesor — posiada pewną szybkość. Stosunek zaś tej szybkości do ludzkiego życia jest cyfrą stałą. Tem się tłumaczy fakt, że przyszłość jest dla nas niedostępną. Aby stosunek ten uczynić ruchomym, trzebaby albo przedłużyć ludzkie życie, albo wydatnie przyspieszyć szybkość czasu.

— Bardzo ciekawe — przerwał łaskawie Gog.

— Ponieważ nie można przedłużyć ludzkiego życia — podjął po krótkiej pauzie Neverson — skierowałem swe badania ku pojęciu czasu. Efektywnie czasu przyspieszyć się nie da, można mu natomiast nadać znacznie szybsze tempo w pracowni na modelu.

— Na jakim modelu? — zapytał Lack.

— Na modelu świata — odparł naturalnie profesor Neverson. Pragnąc zaś uniknąć dalszych interpelacyj, podjął szybko: — Świat redukuję do pojęcia istnienia. Istnienie składa się z szeregu zespołów, które wpływają na siebie analogicznie, jak masy w wszechświecie materji, to znaczy przyciągają się lub odpychają. Ich wielkości ustosunkowują się względem siebie proporcjonalnie...

— Nic z tego nie rozumiem! — przerwał energicznie Gog. — Niech pan powie, na czem polega pański przyrząd. Pół miljona dolarów jeszcze nikt nie wygadał, panie Neverson!

Starzec poklepał się nerwowo po nagich piersiach i przemocą ułożył wargi w lichą imitację uśmiechu.

— Sir, mój model zajmuje pół pokoju, objaśnić mógłbym go w mej pracowni.

Gog spojrzał z ukosa na inżyniera. Lack wymownym gestem wskazywał na basen.

— Jeszcze tylko kilka zdań, sir! — podjął gorączkowo Neverson, wyczuwając, że święci się coś niedobrego.

Gog zapalił cygaro i poprawił się wygodnie na leżaku.

Neverson wstał z krzesła, rozłożył szeroko ręce, podniósł krzaczaste brwi i uniósłszy się na palcach, zaczął mówić szybko, tajemniczym szeptem:

— Wchodzimy do wielkiego prostokątnego pokoju. Zatrzaskują się automatycznie hermetyczne drzwi. Laboratorjum nie posiada okien, tylko przez sufit z matowego szkła przecieka równomiernie zielonawe światło. Pierwszą ścianę z białego marmuru zajmują barometry, chronometry, manometry, barografy i inne pomiarowe przyrządy. Jest to główna tablica rozdzielcza — mózg i serce pracowni. Powietrze wibruje jednostajnie od szumu czterech generatorów, które pracują dniem i nocą w przyległej komorze. — Środek pracowni zajmuje ogromny stół, o metalowej polerowanej powierzchni, do której jest przykręcone potężne rusztowanie, kryjące w swem wnętrzu kosmozegar. Otwieramy powoli kilkumetrowe ebonitowe drzwi; stoimy przed największą zagadką XX wieku.

Te migocące na szklanych osiach stalowe kule, to planetarjum idei. Życie i losy świata w 72% zależą od rozwoju, ewolucji i wzajemnego ustosunkowania się idei, które posiadają moc znacznie większą, niż suma sił twórczych ich wyznawców. Wielkość tych kul obliczono w stosunkach rzeczywistych ich wzajemnych proporcyj. Te dwie pierwsze, to katolicyzm i buddaizm — dziesiątki następnych o rozmaitych wymiarach, to komunizm, faszyzm, pacyfizm, nacjonalizm itd. Nachylenie tych ciał do siebie odpowiada rzeczywistości — kąt, według którego postępuje ich ewolucja w czasie, jest zgodny z prawdą. Krzywemi dźwigniami połączone z powyższym zbiorem jest planetarjum środkowe — ras i narodów. Oto w proporcjonalnych, ścisłych wymiarach przeźroczyste kule ludzkich ras: biała, czarna, żółta i czerwona. A w nich, na ruchomych dźwigniowych genealogicznych drzewach, zaczepiono kule poszczególnych narodów. Kąty ich wzajemnych nachyleń obliczono według objektywnych wskaźników historycznych.



Przechodzimy wreszcie do najistotniejszej części kosmozegaru, a mianowicie do ewoluometru Człowieka. Według tego przyrządu ustawimy kąty i drogi całego planetarjum. Ewoluometr Człowieka da nam wskazówki, w jaką siłę magnesową mamy wyposażyć kule planetarjum idei, ras i narodów. Musimy bowiem pamiętać, że wytyczne rozwojowe ideom i rasom nadaje Człowiek.

Otwieramy dolne drzwi kosmozegaru. Ewoluometr Człowieka jest nastawiony na wiek XX. Na samem dnie spoczywa oś, z nawiniętą kilkukilometrową taśmą. To jest pas transmisyjny tradycji, która popycha poprzez wieki kulę religji, patrjotyzmu, wiedzy itd. Na szczycie, na krzywej osi drga tajemniczo niewielka kula z ostrem ostrzem, które obiega jej obwód. Oto duch przeczenia — siła negacji, leżąca w wieloboku sił człowieka, naprzeciw wiary. Ostrze to przecinało już niejednokrotnie pasmo tradycji w biegu historji.

Profesor Neverson zaczerpnął głęboko powietrza i mówił szybko dalej:

— Sir, stoimy na następującem stanowisku: Przyszłość świata jest potencjonalnie zawarta w poszczególnych elemenach istnienia. Człowiek jest tylko momentem wyzwalającym. Postęp dokonuje się sam. Indywidualizm jednostek i wiara w twórcze własności człowieka podyktowały setki głupstw. Dopiero ostatnie zdobycze wiedzy ustaliły, że jednostka właściwie nie istnieje. Rzeczywistością są jedynie proporcje. Naprzykład badania meodą testów ustaliły, że suma inteligencji tysiąca dzieci w szkole X równa się dokładnie sumie inteligencj tysiąca dzieci w szkole Y. Jedynie rozdział inteligencji w obu szkołach jest różny. Jednostki operują szeregiem pojęć, które nie posiadają pokrycia w realnej rzeczywistości. W wszechświecie, który nas otacza, niema miejsca ani na wolną wolę, ani na przypadek. Gdy rzucimy kilka razy monetą, nie wiemy czy wypadnie orzeł czy reszka. Lecz już przy 10 tysiącach rzutów stosunek ten przedstawi się procentowo: 49% reszka i 51% orzeł, a przy nieskończonej ilości rzutów, stosunek ten wypadnie 50:50. Tylko w ciasnem indywidualnem polu jest miejsce na przypadek: w oceanie zjawisk wszechświata panują niepodzielnie ład, proporcja i schemat. Na tem prawidle opierają się biura statystyczne Paryża, Londynu i Berlina, układając preliminarze zbrodni, samobójstw, zgonów itd. na rok następny. Nie opieramy się zatem na ograniczonem życiu ludzkiem, lecz eksperymentujemy z czasem. W chwili, gdy kosmozegar zostanie puszczony w ruch, przeżyje on w minjaturze i w skrócie ewolucję najważniejszych problemów istnienia, w stosunku: 500 lat równa się jednej minucie.

W tym momencie profesor Neverson obrócił się ku ścianie, pragnąc zilustrować ręką zawiły przebieg eksperymentu.

Lack, od dłuższej chwili obserwując Goga, zauważył, że miljoner pozbył się drwiącego uśmiechu, a oczy jego przysłoniła marzycielska mgiełka, którą tak kochały kobiety (zwłaszcza te, które starały się wyłudzić od niego czek na poważniejszą kwotę). — Nie było chwili czasu do stracenia, za parę minut mogło być już zapóźno na wszelką kontr-akcję. Neverson stał wciąż tyłem, smarując coś brudną ręką po ścianie. Upewniwszy się, że miljoner zatopiony jest całkowicie w wykładzie półnagiego mędrca — Lack nadął się jak gołąb i nieznacznie otworzył usta. Równocześnie niemal rozległ się nieco stłumiony głos Goga:

— Lack, wyrzuć stąd tego idjotę — dość tych bredni!

Inżynier jednym skokiem znalazł się pod ścianą i uchwyciwszy Neversona wpół, błyskawicznym ruchem przerzucił go przez balustradę. Ten nieoczekiwany finał ciekawej prelekcji odbył się z zastraszającą szybkością.

— Cóż to ma znaczyć? — wykrztusił po chwili wściekłym głosem Gog, nie orjentując się zupełnie w tem co zaszło.

Inżynier nalał szklankę whisky i niemal przemocą wcisnął ją w dłoń miljonera. Gog machinalnie pociągnął dobry łyk.

— Uratowałem parę tysięcy pańskich dolarów — odezwał się wreszcie Lack.

— Jakto??

Inżynier uśmiechnął się skromnie.

— Wnioskowałem z pańskiej miny, że byłby pan dał temu pawjanowi parę tysięcy dolarów.

— Ależ to genjalny człowiek...

Dalsze słowa Goga zagłuszył rozdzierający krzyk: „Ratunku, policja!!".

Lack zbiegł szybko nadół i rzucił się na ociekającego wodą Neversona.

— 100 dolarów jutro — i milczeć! — szepnął mu w samo ucho.

Mędrzec udobruchał się natychmiast. Ujął inżyniera pod ramię i wolnym krokiem skierowali się ku garażom.

— Ten Gog to właściwie podła kreatura— odezwał się Neverson. — Tak poważnego gentlemana jak ja, kazać poprostu wyrzucić do sadzawki...

— O tak! — przytaknął inżynier. — To dziwak, znany szeroko ze swych nieobliczalnych postępków.

— Nigdy mu tego nie przebaczę! — stwierdził stanowczo mędrzec.

Lack wracając na werandę (za kwadrans miano podać lunch) zamyślił się nad pomysłowością życia. Czyż przypuściłby kiedy, że uratuje Goga od głupstwa swojem brzuchomóstwem?

MADAME AVIVE ARASTEH o kobietach Iranu.

Persja, lub kto woli — Iran, to dla nas, Europejczyków, nieznany bliżej, tajemniczy kraj. I jeżeli o Persji cośniecoś pamiętamy, zawdzięczamy to chyba „dywanom perskim" i pasjonującym powieściom dla młodzieży, Karola Maya.

Nasze wiadomości krajoznawcze o tym ciekawym kraju, słynącym w zamierzchłych czasach z niezliczonych wojen, są niezwykle skąpe, a w każdym razie przez ogół prawie nieznane. Wiemy tylko o tem, że Iranem rządzi król, nazywany szachem. A jeżeli Persja „spopularyzowała się" wśród ludu, to chyba tylko przez dowcipne powiedzenie „perskie oko"...

Gdy chodzi o kobietę irańską — Persjankę, niewielu wtajemniczonych mogłoby o niej cośkolwiek powiedzieć.

Mając możność zaczerpnięcia wiadomości wprost „u źródeł", udałem się do państwa Arasteh, którzy przybyli do Ciechocinka na kurację. Pan Mirza Nadir Arasteh, jako minister pełnomocny, jest reprezentantem Królestwa Iranu w Warszawie. Małżonka ministra, pani Avive Arasteh, to niezwykle przystojna brunetka, która z wielką uprzejmością zgodziła się udzielić mi wywiadu. Traf chciał, że w czasie mojej wizyty przyszli państwo Ossendowscy. Głośny powieściopisarz mówi mi, że pani Arasteh jest narówni z panią Czang, małżonką posła chińskiego w Warszawie, najsympatyczniejszą przedstawicielką żeńskiej połowy korpusu dyplomatycznego w Polsce.

Zanim jednak dojdziemy do właściwego przedmiotu, uważam za stosowne naszkicować pokrótce obraz dzisiejszego Królestwa Iranu. Jest ono położone pomiędzy wysokiemi pasmami gór Hindukusz i Elburs. Klimat posiada gorący. Nieliczne rzeki gubią się w piaskach, dając początek oazom, lub wpadają do jezior śródlądowych, które są „ruchome", to znaczy, że stale zmieniają swój obszar, w miarę opadów atmosferycznych, lub posuchy. Niektóre z rzek przedzierają się przez pasma górskie, otaczające Iran, tworząc doliny przełomowe. Irańczycy wyznają islam.

Podobnie jak Mała Azja, Mezopotamja, Syrja, była i Persja, w starożytności krajem doskonale zagospodarowanym i bogatym, dzięki pracowitości swych mieszkańców. — W ciągu wieków wyniszczyły ją długotrwałe wojny i stosunki uległy zmianie na gorsze. Kwitnący ten kraj zubożał.

Persja produkuje pszenicę, jęczmień ryż, tytoń, bawełnę, trzcinę cukrową, opjum, jedwab, dostarcza pereł, a oprócz tego słynie na cały świat z najpiękniejszych i najdroższych dywanów. I właśnie, jeżeli chodzi o wytwórczość i produkcję, spoczywa ona, w lwiej części, w rękach kobiety. Kobieta, podobnie jak we wszystkich krajach muzułmańskich, odgrywała tu jeszcze do niedawna rolę siły roboczej...

Obecnie sytuacja zmieniła się tam bardzo na korzyść kobiety. Posłuchajmy, co mówi o tem rodowita Persjanka, pani ministrowa Arasteh:

— Wy, Europejczycy, macie niezbyt dokładne pojęcie o kobiecie irańskiej. Zdaje się wam, że na starą modłę jesteśmy niewolnicami swych mężów, zamknięte w haremach, odsunięte od świata. Nie przeczę, że w zapadłych wsiach zdarzają się jeszcze wypadki wielożeństwa i służalczej uległości. Są to jednak — jak powiedziałam — wypadki, zresztą coraz rzadsze, utrzymywane tylko dzięki religji mahometańskiej. Bierze jednak górę rozsądek, lub — jeżeli pan woli — postęp. Europeizujemy się.



Minister Iranu, Mirza Nadie Arasteh z małżonką i dziećmi na tarasie basenu w Ciechocinku.



Persjanka idąca po wodę.

— Rozumiem — potwierdzam skwapliwie. — Pragnąłbym mimo to dowiedzieć się czegoś o kobiecie irańskiej współczesnej. Mam na myśli stosunek kobiety do męża, spraw gospodarczych i społecznych. Przypuszczam, że ogólnoświatowy prąd feministyczny musiał przeniknąć również i do Iranu?

— Bezwątpienia. Dzisiejsza Persjanka, zwłaszcza Persjanka młoda, w niczem nie przypomina swej prababki. Nie powiem, by nie było w tem zasług mężczyzn, którzy idą nam na rękę. Otóż dzisiejszego Persa, czy Irańczyka — jak się panu lepiej podoba — cechuje prawdziwie głęboka troska o



kobietę, o jej stronę duchową i moralną. Nasi mężczyźni w odniesieniu do kobiet — to wzór elegancji, uprzejmości i wybitnego taktu. Nie notowano u nas wypadku nawet na wsi, by mężczyzna na kobietę podniósł rękę. Z drugiej strony muszę podkreślić, że kobieta irańska jest upośledzona pod względem zajęć codziennych. Obejmują one niemal wszystko. Mężczyźnie niezupełnie jeszcze „wypada" oddawać się bez żenady każdej pracy.

Pragnie pan wejrzeć w życie naszej kobiety... Na samym wstępie chcę zaznaczyć, że kobieta irańska w swych trudach, kłopotach i troskach codziennych jest spokrewnioną z kobietą... polską...

— Doprawdy zaciekawia mnie pani! Na czem polega to pokrewieństwo?

Pani Arasteh uśmiecha się z rozbrajającą słodyczą.

— Zaraz to panu wyjaśnię. Otóż my, kobiety, prawie na całym świecie jesteśmy sobie siostrami... Może różnimy się tylko religją, wiarą, językiem, otoczeniem i cechami narodowemi. Ale ambicje kobiety Polki i kobiety Persjanki — to analogiczne pokrewieństwo ducha. Może panu, jako mężczyźnie, trudno to zrozumieć. Proszę mi jednak wierzyć, że spostrzeżenia moje opierają się na kilkuletniej obserwacji. Jeżeli chodzi o różnicę — że tak powiem — materjalną, to jest ona duża. Zdobywamy sobie wszystko to, co kobiety Polki, dawno osiągnęły. — W niektórych dziedzinach jesteśmy, niestety, pionierkami. Ale dzisiejszy Irańczyk rozumie kobietę i idzie jej na rękę. Muszę panu powiedzieć, że pod pewnemi względami jesteśmy więcej samodzielne, niż Europejki. Iranka, wychodząc zamąż, zatrzymuje swój osobisty majątek do wyłącznej dyspozycji. Mąż nigdy nie ośmieliłby się korzystać z jej wiana. No i uprzejmość Irańczyka w stosunku do kobiety jest naprawdę wyjątkowa. Rycerskość Persa przewyższa o niebo słynną uprzejmość „wersalską"...

— Zdawałoby się, że mahometanie wogóle traktują kobietę jak coś niższego...

— Czasy te przeszły bezpowrotnie. Jesteśmy pod tym względem wynagrodzone sowicie za nadmierne obciążenie zajęciami. No i druga, może najważniejsza sprawa: małżeństwo. Instytucja to ważna i uświęcona, jednakże bardzo łatwa do rozwiązania. Powód do rozwodu jest zupełnie wystarczający, gdy małżonkowie nie odpowiadają sobie charakterem, lub, gdy nastąpi — rzadkie zresztą u nas — wiarołomstwo. Weszliśmy może na grunt nieco skomplikowany, ale zapewniam pana, że moralność kobiety irańskiej — to podstawa jej czci i spokoju.

— Pragnąłbym zadać Pani jeszcze jedno pytanie. Chodzi mi o ośrodek zainteresowania współczesnej młodej Iranki?

— Dzisiejsza kobieta irańska opanowuje należne jej w społeczeństwie miejsce. Mamy już dentystki, dziennikarki, nie mówiąc o kobietach piszących i poetkach, które istniały zawsze w naszym narodzie. Iranka dąży do równouprawnienia, pragnie zdjąć zawój i żyć bardziej swobodnie. Mamy już niezliczoną ilość kobiet perskich, które zrzuciły zawój i ubierają się według najnowszej mody europejskiej; są to głównie dziewczęta, które ukończyły studja i poznały życie swych sióstr w Europie. Jeżeli chodzi o mężczyzn, to ci są bardziej konserwatywni od kobiet. I tu należy szukać wpływu w religji mahometańskiej. Ostatnio W Meszedzie doszło do zaburzeń w meczecie, na tle zakazu noszenia zawojów. Nasi mężczyźni nie chcą nosić kapeluszy europejskich. Ale kobiety, zwłaszcza dziewczęta irańskie, całą żywiołową siłą idą z postępem, uczą się i prawie o pięćdziesiąt procent wyprzedzają mężczyzn. W roku 1314 według kalendarza naszego, a w 1935 według kalendarza europejskiego, przewaga dziewcząt w szkołach wyższych jest wymownym dowodem, że dzisiejsza dziewczyna perska wykazuje wybitny wysiłek, zmierzający wyraźnie do emancypacji. Zwalczamy głęboko zakorzenione przesądy, zwyczaje i tradycje, by godnie stanąć obok kobiet europejskich. Jak wszystkie reformy, wprowadzone w Iranie dopiero przed kilkoma laty, tak i reforma życia socjalnego kobiety, dokonuje się powoli, lecz pewnie i wytrwale.

W tej chwili nadbiegło troje dzieci państwa Arasteh: rozkoszna dziewczynka i dwóch sympatycznych chłopczyków. Wszyscy czarni jak murzyni. W Polsce zaaklimatyzowali się i mówią po... polsku.

Pani Arasteh nie opanowała jeszcze języka polskiego. Mówi tylko po angielsku i francusku. Pan Minister włada zato jeszcze rosyjskim.

Na odchodnem pani Arasteh dodaje:

— Ciechocinek podobał się nam bardzo. Nie przypuszczaliśmy, by w Polsce było tak piękne i nowoczesne uzdrowisko. Dzieci nasze czują się w Ogrodzie Jordanowskim, jak w waszym biblijnym raju...

Pożegnałem miłych kuracjuszów, dziękując pani Arasteh za tyle cennych informacyj.

Tadeusz Gierut (Ciechocinek).

Na lewo: Fragment życia ulicznego w Isfahanie.



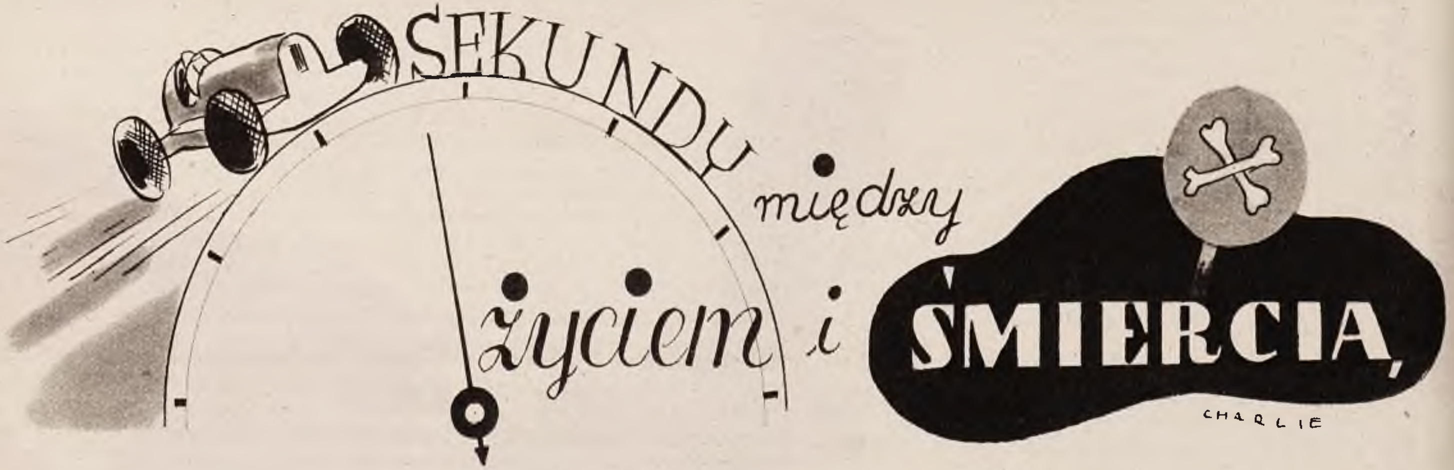
Kobiety Iranu przysłaniają na ulicy swe twarze gęstemi zasłonami.



Oto jak ubierają w Persji młodą kobietę, idącą do ślubu.



CZŁOWIEK,
KTÓRY BUDUJE DROGI CYWILIZACJI...



SEKUNDY między życiem i ŚMIERCIĄ

Kiedy na jednym z bankietów, urządzanych z okazji rozegrania jakiegoś przedwojennego wyścigu samochodowego zapalony mówca twierdził, że: „...przyjdą kiedyś czasy, gdy samochód osiągnie szybkość 60 klm." — jeden z biorących udział w bankiecie potentatów nachylił się do ucha sąsiada ze słowami: „Że też ludzie zawsze pod koniec bankietu muszą mówić głupstwa...".

Anegdotkę tę opowiada jeden z polskich miesięczników, stwierdzając szybki rozwój techniki samochodowej. Anegdotka ta nabiera charakterystycznego znaczenia właściwie dopiero wtedy, gdy się mówi o samochodach wyścigowych. Sytuacja przedstawia się bowiem w ten sposób, że dziś już kierowcy wyścigowi śmieją się z tych szybkości, jakie kilkanaście lat temu były jeszcze marzeniem. Sir Campbell jedzie z szybkością większą niż 450 klm/g., a słynni Niemcy Stuck i Caracciola osiągają „lekko" 330 i więcej. Anglik „dosiada" 5-o tonowego, straszliwego potwora: Niemcy jeżdżą na niebywale szybkich samochodach, które jednak pod względem charakterystyki i układu zasadniczo mało różnią się od setek sportowych maszyn, codzień widzianych.

Do niedawna jeszcze wyścigi samochodowe były piękną, emocjonującą i... kosztowną rozrywką. Czem są dziś? Są eksperymentami technicznemi, są terenem rywalizacji fabryk, wzajemnie ubiegających się o palmę pierwszeństwa, w dziedzinie nowoczesności budowy samochodów. Znaczenie zwycięstw w wyścigach jest dla fabryki olbrzymie. Decydują one o powodzeniu handlowem fabrykatów danej marki w tych ośrodkach zwłaszcza, gdzie fabryki mogły bezpośrednio wykazać doskonałe rezultaty pracy konstruktorów.

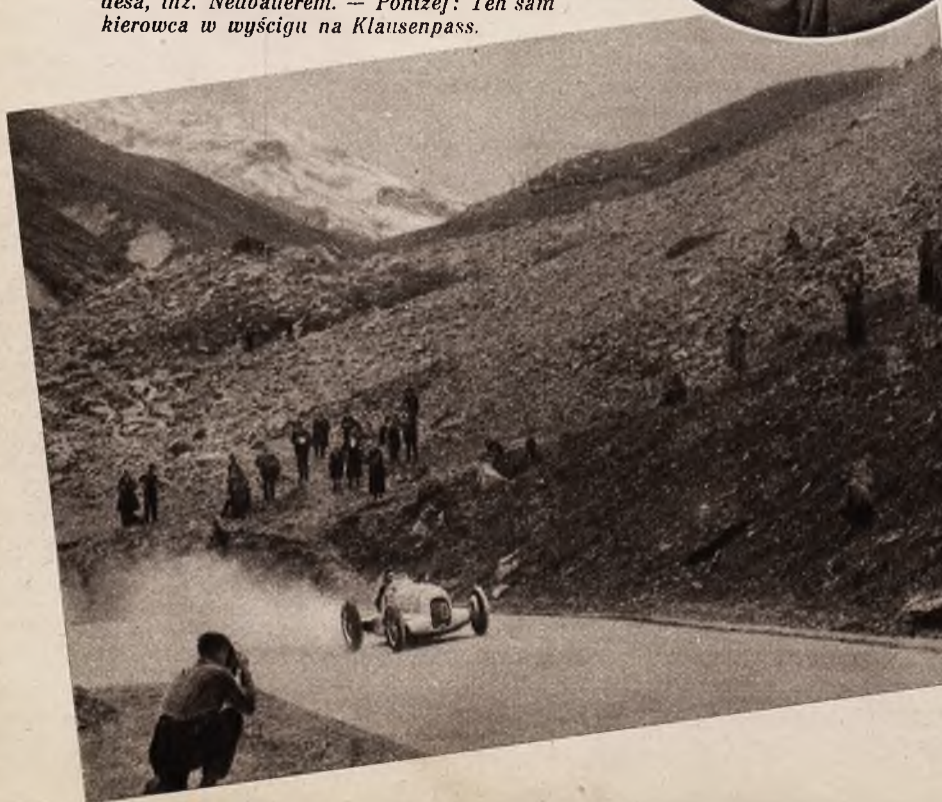
Jak szybki jest rozwój techniki samochodowej, wiemy wszyscy. Najbardziej uwidacznia się on jednak w dziedzinie budowy wozów wyścigowych. Rywalizacja różnych typów maszyn na torze przyciąga tysięczne rzesze widzów, ze względu na swój nadzwyczaj emocjonalny charakter: przyciąga nawet tych, którzy techniką samochodową i jej rozwojem interesują się minimalnie.

Wyścigi ostatnich lat są rozgrywane w konkurencji przeważnie tylko doświadczonych kierowców, oficjalnych reprezentantów fabryk; rzadko tylko na start wielkiego wyścigu dostanie się kierowca-amator. Wypływa to stąd, że żadna z fabryk nie odda w ręce niepewnego kierowcy swych naprawdę szybkich maszyn fabrycznych, nie chcąc ryzykować swą renomę. Zresztą i organizatorzy wielkich wyścigów, dbając nietylko o atrakcyjność swych imprez, ale i poprostu o zredukowanie cyfry ewentualnych wypadków do zera, bądź zapraszają tylko jeźdźców rutynowanych, bądź też przed wyścigiem przeprowadzają eliminację — dla usunięcia jeźdźców zbyt mało wyszkolonych, bądź nie posiadających odpowiednich maszyn.

Pomimo tych obostrzeń, wypadki nie należą do rzadkości. Tylko w ubiegłym sezonie zginęło ponad 10-u kierowców. Gdzie należy szukać przyczyn tych tragedyj? Praktyka dowodzi, że w niedużym tylko stopniu zawodzą maszyny. Przyczyną większości wypadków są nerwy, które nie u każdego zawodnika wytrzymują kilkugodzinną walkę, prowadzoną w morderczem wprost tempie. Dlatego też giną przeważnie młodzi i niedoświadczeni, którzy raczej kierują się temperamentem, niż głową. Wypadki „asów" są rzadkie, a jeśli zachodzą, to z przyczyn natury zewnętrznej. Tor spowodował śmierć prawie że jednoczesną, Czajkowskiego, Campariego, Borzacchini'ego. Guy Moll zabił się w zeszłym roku wskutek zbyt wąskiej trasy.



W kole: Słynny kierowca niemiecki Caracciola w rozmowie z szefem ekipy Mercedesa, inż. Neubauerem. — Poniżej: Ten sam kierowca w wyścigu na Klausenpass.





Fagioli na finiszu wyścigu o puhar Acerbo 1934.



Manfred von Brauchitsch i jego potężny Mercedes.

Któż są te sławy, zwyciężające pod rząd, sławy — które nie dopuszczą na pierwsze miejsca żadnego nowicjusza? To ludzie, już od najmłodszych lat ogarnięci nałogiem szybkości, wszystkie swe zainteresowania kierujący ku możliwościom zwiększania jej, chyba w nieskończoność. Zaczynali przeważnie od roweru. Po krótkim czasie motocykl: najpierw rozrywka, potem turystyka, potem raid, potem jeden i drugi wyścig i wreszcie pierwszy wymarzony start na samochodzie wyścigowym. Jeśli ten start nie skończył się tragedją lub cięższem okaleczeniem, kierowca jest „kupiony". Jedni do tego wymarzonego startu dochodzą jako pomocnicy garażowi, inni jako mechanicy; inni znów przez pieniądze, które umożliwiają im uprawianie najdroższego sportu.

Od kilku lat sytuacja w sporcie samochodowym zmieniła się zasadniczo. Skończyły się czasy, kiedy wystarczyło kupić dobry, szybki samochód, by mieć zapewnione dobre miejsce w klasyfikacji. Powiedziałem wyżej, że dzisiejszy wyścig jest wyścigiem maszyn. Dziś zwycięża już zasadniczo konstruktor i fabryka. Dawniej fabryki uczestniczyły w wyścigach i uczestniczyli „klienci" razem się goniąc. Dziś tylko uczestniczy fabryka, a nowi „klienci" kupują wozy budowane „na wzór" i jeżdżą na wyścigach mniejszych, lub na słynnych 1000-milowych raidach o charakterze wyścigów.

Mimowoli powstaje pytanie, poco tyle ofiar ludzkich, naco te szalone sumy „na nic", poco te krwawe widowiska, rozbudzające niskie namiętności — komu to potrzebne? Przeżycia psychiczne publiczności są zawsze niezmienne. - Patrz, zarzuca go... co mu jest? Naraz straszliwy huk. Maszyna tańczy jak opętana. To pękła opona. Sekundy dla publiczności, wieczność dla kierowcy. Byle nadludzkim wysiłkiem utrzymać wyrywającą się kierownicę... Z boku słup, płot, potem jakiś domek, potem znów słup... byle nie dotknąć hamulców, byle wytrzymały nerwy. Wreszcie maszyna staje, zakreśliwszy dziwaczny łuk — tłumy oddychają z ulgą.

\+ \+ \+

Organizacja wyścigu nastręcza szalone trudności. Bieganina zaczyna się już w pierwszych z trzech dni treningu, gdzie zawodnicy studjują tor, organizują sobie „służbę informacyjną". Jeśli konkurencja jest trudniejsza, to umówieni ludzie informują zawodnika specjalnemi znakami o wynikach zawodników konkurencyjnych. Jeśli tylko trasa trudna, ustawiają sobie zawodnicy „dla przypomnienia" znaki oznaczające: hamować, ostry zakręt, wyminąć nie można i t. p.

Tymczasem na stoiskach maszyn wre praca. Manager wyścigowy pilnuje instalowania warsztatu pomocniczego, pomp. Od czasu do czasu podjeżdża zawodnik, mechanicy korygują ostatecznie regulację silnika. Trzy dni treningu minęły więc na przygotowaniach. Nadchodzi dzień startu. Szalone podniecenie, tysiączne tłumy widzów. Maszyny ustawiono na starcie drogą losowania lub eliminacji. Ryk kilkunastu wozów, z których każdy ma przeciętnie 300 koni mocy. Chorągiewka startera opada. Ogłuszający huk, tumult, kłęby sinego dymu i za chwilę pustka na starcie. Teraz już tylko z dali dolatuje wściekły urywany charkot maszyn. Tymczasem mechanicy przygotowują się „na przyjęcie" zawodników. Po kilku minutach przed trybunami lecą pierwsze wozy.

Atmosfera niesamowita. Ryk i gwizd kompresorów mieszają się z krzykami rozgorączkowanej publiczności. Naraz jakiś zawodnik zatrzymuje się. Zmieniają mu świece, kilku mechaników naraz. Rusza dalej niesamowitym zrywem. Po kilku okrążeniach staje inna maszyna. Zmiana czterech opon, zdartych do granic na wirażach. Mija przeciętnie 50 sekund i zawodnik jedzie dalej. Megafony informują o stanie zawodów. Ten i ten się wycofał, inny uległ wypadkowi. Kilka nieraz godzin maxymalnego naprężenia nerwów i zwycięzca mija metę. Zamęt nie do opisania. Zwycięzca odbiera gratulacje, zasypywany kwiatami i ledwo stoi na nogach. Pozwólcie zdjąć hełm i coś do picia. Wyścig został rozegrany. Zwycięstwo fabryki... Konstruktor przeważnie mało szerszej publiczności znany — stoi na uboczu i uśmiecha się. Inni zawodnicy tymczasem ze swą obsługą prowadzą zrezygnowane dyskusje. Maszyna przestała ciągnąć, to świece, wreszcie coś z oliwą... musiałem się wycofać. Stało się! W następnym wyścigu będzie spewnością lepiej.

W sezonie obecnym bezprzykładne wprost zwycięstwa odnosi Mercedes. Jest to zupełnie zrozumiałe. Fabryka całą zimę przygotowywała się i potrafiła nawet w grudniu pobić światowy rekord szybkości na 1 milę ze startu stojącego. Szybkość 320 klm/g. skierowała na Mercedesa oczy całego świata. Do czasu Wielkiej Nagrody Niemiec wszystkie ważniejsze wyścigi zdobył Mercedes. Grand Prix Niemiec przegrał tylko pozornie. Przed samym już finiszem zwycięskiemu Brauchitschowi pękły opony tylne. Tych kilka sekund czasu wystarczyło, by na metę wpadli najpierw zawodnicy, którzy dotychczas jechali mu „na kole". Zwyciężył Nuvolari na najnowszej Alfa Romeo, dowodząc temsamem, że marka ta po okresie ostatnich niepowodzeń zyskuje nowe sukcesy. Konstruktor Alfy — Iano przychodzi znów do głosu. Dr. Porsche, twórca Auto Unionu ma niemożliwego pecha; ciągłe defekty maszyn i to tak drobne defekty. Konstruktor Maserati nie może wybić się dalej jak na drugie miejsce. Bugatti nadal bez rezultatów. Anglicy — o ile nie porzucą swego konserwatyzmu będą zdobywać w najlepszym razie 5-te miejsca.

Konstruktorzy samochodów powiedzieli swoje ostatnie słowo. Wozy wyścigowe jeżdżą z szybkością 350 klm na godz., seryjne 150 i więcej. Teraz mają głos producenci opon Jeśli ulepszą opony, wtedy unikną wypadków jeźdźcy-wyścigowcy i potem unikną wypadków tysiące szarych automobilistów. — Obecnie aktualne zagadnienie opon, to klasyczny przykład bezpośredniego związku korzyści eksperymentów z wozami wyścigowemi dla późniejszego użytku miljonów automobilistów.

Janusz L. Makowski.



Świetny kierowca włoski Luigi Fagioli.



Widok z Zawratu na Krywań.
Fot. E. Zalasiński.



Masyw Mięguszowieckiego, widziany z Rysów.
Fot. E. Zalasiński.

NA ZIMNYCH GRANIACH GÓRSKICH PŁONĄ NASZE SERCA...



Koszysta, widziana z Fajek.
Fot. E. Zalasiński.

Góralu! Czy ci nie żal
Odchodzić od stron ojczystych
Świerkowych lasów i hal
I tych potoków przejrzystych?

Jak śpiewał ongiś poeta synowi Podhala, który idąc do miasta za chlebem, porzucał krainę tatrzańską — może na zawsze. A dziś niejednemu z nas, gdy z gór wracamy w nizinne strony, brzmią w uszach te uroczne słowa; coś z tęsknoty chwyta za gardło, coś przemożnie ciągnie spowrotem tam, gdzie wśród wyniosłych turni, na miękkim dywanie mchu, co zaściela brzegi rwących potoków i zamarłych jezior, prześniliśmy najpiękniejszą z bajek — bajkę taternika.

Bo piękne są nasze góry! O wschodzie słońca, gdy rosa skrzy się jeszcze tysiącem djamentów na rozłożystych limbach Morskiego Oka, a cień, rzucony przez Żabie Turnie, pada na spokojną taflę jeziora, budzi się na granitowym zameczku Krywania, król gór i głosem do gromu podobnym zwołuje brać taterniczą na wielkie gody. Wtedy z kamiennych schronisk i z niskich szałasów, co przywarły do skał niby jaskółcze gniazda, wysypuje się wesoła gromada. Twarze, spalone wichrem i słońcem, błyskającym radośnie na stali ich ciupag i czekanów, zwracają się ku szczytom, które muskają pierzchające chmury — białe łabędzie na błękicie nieba.

Cisza panuje dokoła... I tylko czasami dalekie nawoływania juhasów zmieszane z dźwiękiem dzwoneczków pasącego się bydła, przerywają monotonję i spokój poranku. Wtóruje im przeciągły gwizd świstaków, polujących wśród złomów skalnych na zboczach Mięguszowieckiego Wierchu. To symfonja gór.

A gdy wreszcie stajemy na krawędzi zimnej grani, co poszczerbionym zrębem biegnie od turni do turni i oczy zwrócimy w dal, zalaną potokami najczystszego złota, nurzającego się w zieleni smreków ukrytych we wnętrzu rozległych kotlin i rozpalającego na tysiącu szczytów płomienne znicze południa, gdy tak ogarniemy najbardziej odległe krańce tatrzańskiej krainy — wtedy jakaś dziwna radość spływa w nasze serca i niby najcudniejsza piosenka brzmi w naszych uszach daleki szum potoków, co srebrzystemi wstęgami znaczą swój bieg w dolinach.

Kochamy nasze góry i na ich zimnych graniach płoną nasze serca...

J. L.

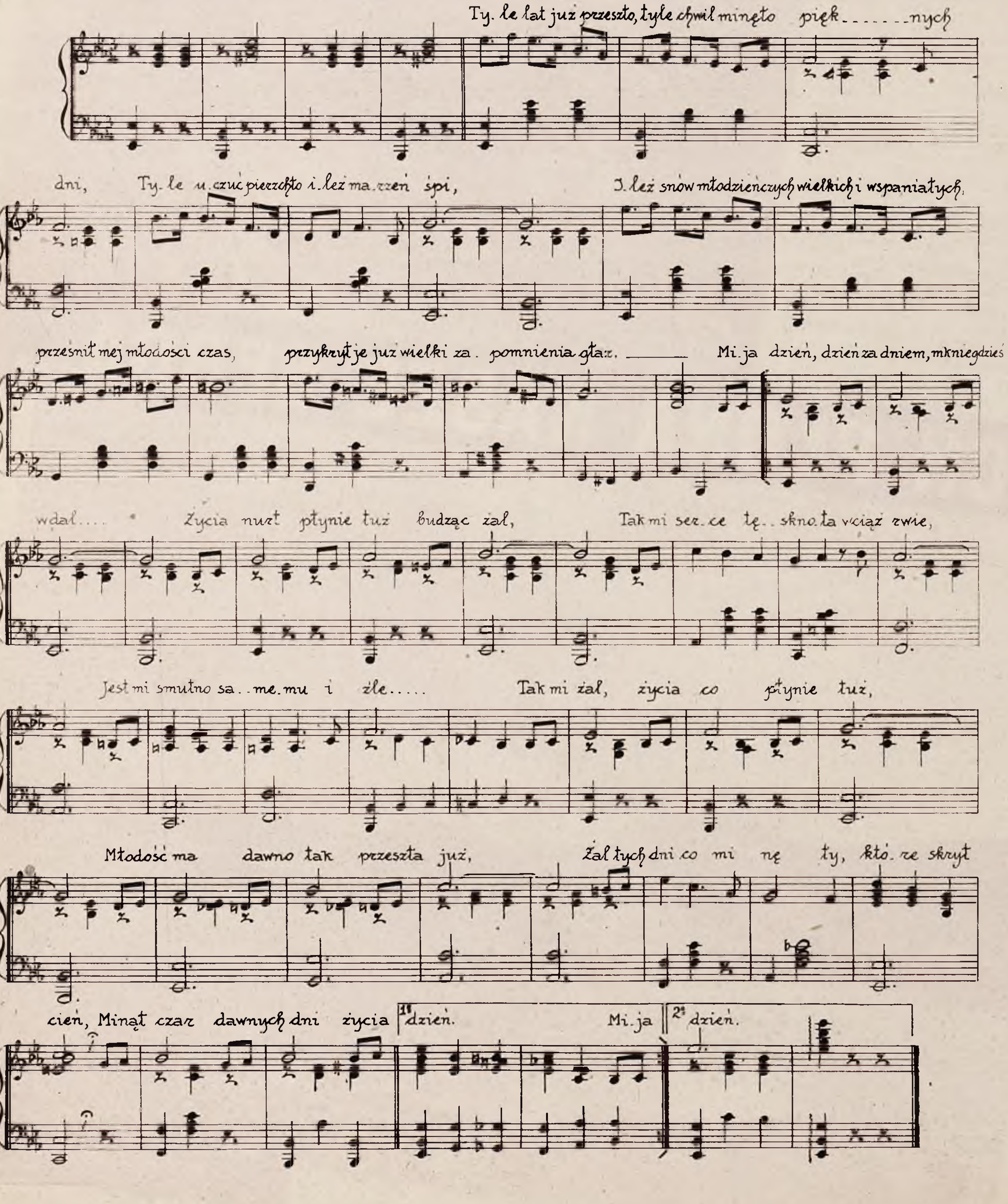


Czarny Staw Gąsienicowy.
Fot. E. Zalasiński.

MIJA DZIEŃ

WALC ANGIELSKI

MUZYKA I SŁOWA ✶ SEWERA LELIWY



W KRÓLESTWIE PIORUNÓW.



Piorun, sfotografowany podczas burzy, która szalała w okolicach Lwowa. Fot. Lambor — Lwów.



Benjamin Franklin.

Czy wiecie, co to jest burza?

Gdy zadamy to pytanie pierwszemu lepszemu t. zw. człowiekowi inteligentnemu, to niewątpliwie zdziwi się, że stawia mu się podobnie „dziecinne" kwestje do rozstrzygnięcia. Przecież Franklin, wyładowania elektryczności atmosferycznej itd., to rzeczy znane każdemu uczniakowi. Tymczasem możemy zgóry już powiedzieć, że od czasu niebywale doniosłego spostrzeżenia Franklina, które raz na zawsze ustaliło związek przyczynowy między elektrycznością, a piorunami i od czasu genjalnego wyciągnięcia wniosku praktycznego z tego spostrzeżenia przez Franklina i wynalezienia gromochronu, postęp do dnia dzisiejszego jest właściwie dość nieznaczny. A pracują nad tem zagadnieniem niebyle jakie głowy. Najtęższi uczeni świata nie mogą się uporać bez reszty z kwestjami, związanemi z tem efektownem zjawiskiem przyrody. Ogólnikowe powiedzenie, że piorun powstaje wskutek wyładowania elektryczności, już nam dzisiaj nie wystarcza.

Powstaje przedewszystkiem pytanie, w jaki sposób pojawiają się w atmosferze te olbrzymie ilości elektryczności, a skoro one już tam się znajdują, to w jaki sposób mogą one rozdzielić się, skoro, jak każde dziecko wie, elektryczności różnoimienne przyciągają się i zobojętniają wzajemnie. A wreszcie co to jest właściwie błyskawica? Jak się odbywa to wyładowanie? Na te pytania daremnie szukalibyśmy odpowiedzi w popularnych podręcznikach fizyki.

Zachodzi tu inna jeszcze wątpliwość. Wiemy od czasu badań Elstera i Geitla na początku naszego stulecia, że powietrze naładowane jest elektrycznością dodatnią, ziemia zaś elektrycznością ujemną. Powietrze jak każde ciało składa się z atomów. Atomy są elektrycznie obojętne. Ale rzecz jest w tem, że atomy stanowią system o dosyć chwiejnej równowadze i stosunkowo łatwo można z nich wytrącić elektrony. I to właśnie odbywa się stale w powietrzu pod wpływem najrozmaitszych czynników. Takie atomy, pozbawione elektronów, są już elektrycznie naładowane. Tak samo, jak i elektrony samotne, lub niejako zlepione z innymi atomami, posiadają ładunek elektryczny. Ten proces, dzięki któremu w powietrzu pojawiają się składniki, naładowane elektrycznie, nazywamy jonizowaniem powietrza. Powoduje on między innemi fakt, że powietrze staje się przewodnikiem elektryczności. Mamy zatem w powietrzu jony dodatnie i jony ujemne, ale jak już wyżej powiedziano, z wybitną przewagą jonów dodatnich. Ziemia natomiast jest naładowana elektrycznością ujemną. Istnieje zatem między ziemią i powietrzem różnica napięcia, czyli różnica potencjału. Ta różnica wzrasta w miarę oddalania się ziemi. W pobliżu ziemi różnica potencjału wynosi na każdy metr wysokości 130 Volt, czyli licząc od poziomu głowy dorosłego człowieka, aż do poziomu jego nóg istnieje różnica napięcia 220 V. Jest to ogromnie dużo. Czem wyżej, tem różnica napięcia powolniej się wzmaga; jednak między najwyższemi krańcami atmosfery a ziemią panuje mimo to różnica potencjału setek tysięcy Volt. Przedewszystkiem należy zauważyć, że nie znaczy to bynajmniej, jakoby między głową człowieka, a jego nogami panowała taka różnica napięcia — gdyż ciało ludzkie jest dobrym przewodnikiem i nietylko wyrównuje różnicę napięć, ale przedewszystkiem zmienia jak każdy przewodnik elektryczny tzw. pole elektryczne w w swojem otoczeniu. Z tem byłby zatem mniejszy kłopot, ale powstaje inne niepokojące pytanie: jakże się dzieje, że ta różnica napięć między powietrzem a ziemią stale się utrzymuje? Przecież są to różnoimienne elektryczności, które się przyciągają i ostatecznie powinny się zupełnie zobojętnić.

Mamy zatem dwa zasadnicze pytania, będące w dosyć ścisłym związku ze sobą. Przedewszystkiem: skąd się biorą te ilości elektryczności, które ulegają wyładowaniu przez błyskawicę? a po drugie: jak się to dzieje, że ziemia jest stale naelektryzowana ujemnie, a powietrze dodatnio? Na pierwszy rzut oka chciałoby się odpowiedzieć, że błyskawica powstaje właśnie wtedy, gdy elektryczności różnoimiennej nagromadzi się tyle, że musi dojść do gwałtownego wyładowania. Tak też najczęściej odpowiadamy. Ale nie troszczymy się wówczas o drugie pytanie, dlaczego różnice jednak się utrzymują. Pytanie to staje się teraz jeszcze trudniejsze.

Z tego też powodu, a także z innych względów daje się obecnie w nauce odpowiedź wprost przeciwną. Powiadamy, że dzięki błyskawicom nietylko się ładunek elektryczny ziemi nie zmniejsza, ale że przeciwnie błyskawice właśnie ładują ziemię elektrycznością ujemną. Stwierdzono mianowicie, iż najczęściej pioruny prowadzą elektry-

Poniżej: Błyskawice, zaobserwowane w czasie burzy w Waszyngtonie.







Niezwykle ciekawe zdjęcia wyładowań elektryczności atmosferycznej, które na kliszy przybrały formę efektownych, świetlanych wstęg.

czność ujemną. Są one, jak się mówi elektrycznie ujemne i tylko wyjątkowo na morzu zdarzają się błyskawice dodatnie. Takie postawienie sprawy byłoby już odpowiedzią na drugie pytanie, wyżej postawione i wytłumaczyłoby nam, dlaczego mimo wszystko ziemia pozostaje dalej elektrycznie ujemną, powietrze elektrycznie dodatnie, chociaż jest ciągle dosyć okazji do wzajemnego zobojętniania elektrycznego. Nie mamy jednak jeszcze ciągle odpowiedzi na pytanie pierwsze: skąd się biorą błyskawice.

Według prof. Kirchbergera otrzymujemy dwa wyjaśnienia: Jedno, to prof. Lenarda, słynnego fizyka, który tłumaczył powstawanie błyskawic tzw. „elektrycznością wodospadową". Zauważono, że krople wody przy wodospadach spadające z wielką szybkością ładują się wskutek tarcia o powietrze zewnątrz elektrycznością ujemną, wewnątrz pozostają te krople elektrycznie dodatnie. Pod wpływem silnego wiatru może nastąpić rozdział obu tych różnych elektryczności. Wiatr zdmuchuje poprostu zewnętrzną powłokę tych kropelek i odpędza cząsteczki naładowane ujemnie, pozostawiając na miejscu same resztki dodatnie. Ponieważ podczas burzy przeważnie mamy do czynienia z silnym wiatrem, przeto według Lenarda, to tłumaczyłoby nam powstawanie wielkich skupień elektryczności dodatniej i ujemnej w atmosferze, których wyładowanie odbywa się we formie błyskawic. Ale wyjaśnienie to niestety zamało „wyjaśnia".

Przedewszystkiem w konsekwencji tej teorji należałoby przypuścić, że raczej powinny mieć przewagę błyskawice dodatnie, podczas gdy w rzeczywistości dzieje się wprost przeciwnie. Po drugie nie zawsze podczas burzy mamy wiatr. A po trzecie, trudno sobie wytłumaczyć, aby wiatr choćby najsilniejszy mógł spowodować wyładowanie tak wielkich ilości energji, jakie spotykamy podczas burzy. Z tych powodów skłaniają się obecnie uczeni raczej do poglądu angielskiego fizyka, laureata Nobla, Wilsona, który wymyślił dosyć dowcipną teorję na ten temat.

Wychodzi on z założenia, że ziemia, naładowana stale elektrycznie, działa na kropelki wody znajdujące się w atmosferze influencyjnie (zjawisko influencji znane jest każdemu z początków nauki o elektryczności i dlatego szerzej o tem mówić nie będziemy) tj. że po stronie zwróconej ku ziemi kropelka ta staje się elektrycznie dodatnią, czyli otrzymuje elektryczność o przeciwnym znaku do elektryczności ziemi, natomiast od góry staje się elektrycznie ujemną. A teraz wyobraźmy sobie, że kropelka ta wskutek przyciągania ziemskiego spada ku ziemi ze wzrastającą szybkością. Ma ona wskutek tego większe szanse, że jej dolna część naładowana dodatnio napotka na jakąś inną cząsteczkę o przeciwnym znaku elektryczności, do której zresztą jest przyciągana, aniżeli jej połowa górna, ujemnie elektryzowana, w stosunku do cząsteczek dodatnich. Chociaż bowiem ta górna ujemna część kropelki przyciąga ze swej strony cząsteczki dodatnie, to jednak ma mniej szans, aby się z niemi spotkała i połączyła, gdyż spada przecież na dół to jest ucieka przed niemi. Zrozumieć to



Wyładowanie elektryczne podczas burzy.

Poniżej: Zdjęcie błyskawicy, wirującej wokół przewodów telefonicznych.



można łatwo na przykładzie człowieka, który szybko biegnie po ulicy podczas silnego deszczu. Przednia strona jego będzie mokra, natomiast tylna pozostanie niemal że sucha. Widzimy zatem, że ta spadająca kropelka wody zbierze na sobie więcej ujemnych ładunków aniżeli dodatnich, czyli że spadająca cząsteczka wody staje się po pewnym czasie sama elektrycznie ujemna. Ogromne masy spadających cząsteczek wody łączą się na pewnej wysokości w chmurę, która jest zatem ujemnie naelektryzowana i ze swej strony znowu działa tak, jak ziemia na cząsteczki wody powyżej tej chmury się znajdujące. Ilość zatem cząsteczek wody, ujemnie naelektryzowanych, wzrasta bardzo silnie. Rozumiemy już zatem teraz, skąd się bierze przewaga elektryczności ujemnej podczas burzy i powstawanie wskutek tego błyskawic ujemnych.

Tak sobie obecnie tłumaczą uczeni powstawanie wielkich skupień ładunków elektrycznych w atmosferze i to z przewagą skupień ujemnych, doprowadzających do błyskawic ujemnych, dostarczających ziemi ciągle świeżego ładunku elektryczności ujemnej. Możnaby jeszcze na ten temat dużo powiedzieć. Możnaby wyjaśnić, skąd się biorą chmury o ładunku dodatnim, skąd wreszcie pochodzi cała energja, która w błyskawicach się wyładowuje, ale na to miejsca tu nie mamy. Wspomnijmy jeszcze tylko, jak sobie obecnie wyobrażamy samą błyskawicę.

Otóż przyjmujemy, że elektrycznie naładowana cząsteczka atakuje obojętnie cząsteczki, które napotyka i albo z niemi się łączy, albo też rozbija je tak, że powstają nowe cząsteczki elektrycznie naładowane. Te znowu cząsteczki elektryczne, jeżeli znajdują się w t. zw. polu elektrycznem, nabierają wskutek tego większego pędu i trafiają w inne cząsteczki obojętne, znowuż je rozbijają, pędząc dalej. W ten sposób powstaje jakgdyby lawina cząsteczek elektrycznie naładowanych. Pęd tych cząsteczek pod wpływem pola elektrycznego stale się zwiększa i ich działanie coraz bardziej się wzmaga. Atomy tracą masowo swoje elektrony i ten rozkładowy proces rozszerza się coraz bardziej wśród ogłuszającego huku i efektu świetlnego. I to właśnie nazywamy błyskawicą. Z drugiej strony zdarza się oczywiście, że przeciwne ładunki spotykając się łączą się i zobojętnia-

Tak to „sucha" nauka pozbawia romantyzmu najbardziej efektowne zjawisko, jakie znamy w przyrodzie.

inż. J. A.

KASKADA SREBRA...
Najpiękniejsze kwiaty nowej rewji filmowej



MAGDA • LENI • EMMA

3 KOBIETY 3 RZESZY



Magda Goebbels.



Leni Riefenstahl.



Emma Goering.

Polityka w Niemczech jest dziedziną zarezerwowaną dla mężczyzn — dla kobiet pozostają znane przedwojenne trzy „K" — Kinder, Küche, Kirche (dzieci, kuchnia i kościół). Zasada ta przeprowadzana jest w Niemczech hitlerowskich, wszak „Führer" powiedział, że narodowy socjalizm jest związkiem mężczyzn.

To też w Trzeciej Rzeszy kobiety „odkomenderowano" do domu. Ani w parlamencie, ani w życiu publicznem nie odgrywają oficjalnej roli. Ale jak świat światem, nieodmienną pozostaje zasada, że „mężczyźni rządzą światem, a mężczyznami kobiety". — I również w Trzeciej Rzeszy są kobiety, które mają wyjątkowe wpływy i odgrywają swą rolę — nieoficjalnie, za kulisami, które wywierają wpływ na sprawy państwowe nie z trybuny parlamentu, ale w swoich salonach.

Leni, Magda i Emma — oto trzy kobiety Trzeciej Rzeszy: pani Riefenstahl, pani Goebbelsowa i Goeringowa nadają ton w towarzystwie i mają wpływy w dziedzinie polityki. W salonach ich spotykają się najróżniejsze grupy działaczy i polityków i tutaj przy herbacie zapada niejedna decyzja polityczna. Przyjęcia u nich są dla dyplomacji rzeczą o wiele ważniejszą, niż oficjalne komunikaty. Zbadanie listy gości, bywających w tych salonach, miejsce jakie zajmują przy stole, daje doskonałe wskazówki co do wewnętrznego układu sił w partji hitlerowskiej.

Leni Riefenstahl i jej przyjaciele są wykładnikami zamierzeń Hitlera. Panie Goebbelsowa i Goeringowa wyjaśniają czyny swoich małżonków.

Pozycja pani Goebbelsowej jest wyjątkowa. P. Magda reprezentuje typ kobiety inteligentnej, o wybitnym charakterze i wielkich ambicjach. Jest znakomitą współpracowniczką męża. Odgrywała już rolę wówczas, gdy partja narodowo-socjalistyczna nie była u władzy i gdy zakonspirowane życie Führera stwarzało konieczność istnienia spokojnego środowiska dla zebrań partyjnych. U pani Goebbelsowej odbywały się zebrania i tam omawiano te sprawy, których nie można było poruszać na posiedzeniach partji. Pamiętnego wieczoru, gdy wybuchł pożar Reichstagu, przywódcy partyjni udali się z jej mieszkania, gdzie byli na herbacie, na miejsce wypadku. W jej domu zapadła decyzja co do losu braci Strasser i tak samo tam postanowiono wykluczenie niejednego członka z szeregów partji. Pani Goebbelsowa była związana z przyjaciółkami gen. Schleicherowej i na czas zawiadomiła kierownictwo partji, gdy ówczesny kanclerz Schleicher popadł w poważny konflikt z Hugenbergiem i Hindenburgiem.

Ale ostatnio wpływy jej zmalały. Goeringowa i Leni Riefenstahl były zazdrosne o jej wpływy. Zresztą odpowiada to ściśle układowi sił wewnątrz partji, gdzie położenie ministra propagandy jest często atakowane i gdzie jego bezwzględna wierność dla Hitlera od czasu do czasu podawana jest w wątpliwość.

Znamiennym okazuje się pewien dowcip, który krąży po Berlinie.

Goebbels ocknął się ze snu i budzi żonę, mówiąc do niej ucieszony:

„Magda, miałem szczęśliwy sen. Oto śniło mi się, że jesteśmy w r. 1936 i że żyjemy jeszcze". Niewątpliwie dowcip ten jest złośliwy i przesadzony, ale niemniej charakterystyczny dla położenia p. Goebbelsa.

Ale pani Goebbelsowa sama jest winna temu, że gwiazda jej nieco przygasła. Powodem tego jest jej wybujała ambicja, jej zamiłowanie do świateł rampy, do publiczności i do ostentacyjnego pokazywania się. Rozwinęła ona koło siebie zbyt wiele reklamy. Ponadto miała nieszczęście wmieszać się w niektóre sprawy, jak np. w kierownictwo biura mody, które okazało się potem przedsiębiorstwem czysto dochodowem dla pewnych fabrykantów.

P. Goebbelsowa napisała bardzo wiele o kwestji kobiecej, oraz o sztuce, modzie i wychowaniu. Jest ona stałą protektorką rozmaitych imprez i świąt i widuje się ją wciąż to na wyścigach, to na otwarciu jakiejś wystawy, to w radju, to na kweście ulicznej na rzecz pomocy dla ludności itd. Proteguje ona artystów i aktorów. Razem ze swym mężem reprezentuje tendencje nowocześniejsze w walce kulturalnej narodu.

Salon jej jest zarazem salonem literackim i artystycznym. Na tym terenie zwycięża ona swoje rywalki.

Ale mniej szczęścia ma na terenie teatru i filmu. Tu znowu zwyciężczynią jest p. Goeringowa. Chociaż te trzy panie widuje się często przy wspólnym stole, wiadomo jest jednak, jak usilnie z sobą rywalizują. P. Riefenstahl, specjalna protegowana kanclerza, jest dziś osobistością niemalże oficjalną, a jej aktywność artystyczna znaczy się bardzo poważnie w filmach propagandowo-partyjnych. Nie może ona, jak poprzednio, wcielać na filmie bohaterek pasjonujących romansów, może jednak grać role bohaterek partyjnych.

W Berlinie otoczona jest niezwykłem uznaniem, a ponieważ ma wpływ na samego kanclerza, mówią w Berlinie dowcipnie, że od niej właśnie zależy, kto... jest żydem, a kto nim nie jest...

P. Riefenstahl wraz z p. Goeringową i Marją Paudler stanowiły niedawno jeszcze trójkę nieodłączną najwybitniejszych aktorek filmowych. Ale Marja Paudler została skompromitowana w szpiegowskim procesie Sosnowskiego. Była ona przyjaciółką jednej z kobiet, straconych w związku z tą aferą. W ten sposób skończyła się jej karjera.

Każde przyjęcie u tych trzech dam Trzeciej Rzeszy notowane jest skwapliwie na łamach prasy, która poświęca im bardzo wiele miejsca. Natomiast gdy np. p. Katarzyna Stresemann wydaje nieoficjalne przyjęcie, nie wolno jest o tem pisać ani słówka w dziale kroniki towarzyskiej.

Tylko bowiem te trzy kobiety: Magda, Leni i Emma — reprezentować mogą osobistości ze świata kobiecego Trzeciej Rzeszy, o których nietylko wolno, ale trzeba pisać jak najwięcej. **Jean Paraint** (Berlin).

KSIĄŻĘ z „trente-et-quarante"

Powieść Williama J. Makina. 24 Tłumaczenie autoryzowane Jana Maleszewskiego.

ILUSTROWAŁ J. M. BRZESKI

Poprostu znajdował życie pięknem, zadowolony był ze swej parafji, a jego ciągła wesołość nastręczała przypuszczenie, że nawet na kazalnicy musi mieć uśmiechniętą twarz. Był to dosyć rzadko spotykany typ ze wszystkiego zadowolonego angielskiego duchownego.

— Oczywiście, żeśmy się już dawno poznali, panie...

— Sass — uzupełnił pułkownik.

— Właśnie, panie Sass. — I znowu zaczął się lekko śmiać. — Uważam, że jest to zupełnie śmieszne nazwisko.

— Nie zastanawiałem się nigdy nad tem, czy jest ono specjalnie śmieszne — odparł rozgniewany temi dziwnemi uwagami pułkownik.

— A, nie zastanawiał się pan? — rzekł duchowny, robiąc młynka palcami i patrząc się w sufit. — Ja uważam je za śmieszne.

Spojrzał na porucznika Simonitz, który tą dziwną wizytą zupełnie wyprowadzony był z równowagi.

Niezwykła sytuacja, w jakiej znajdował się anglikański pastor, bynajmniej nie odbierała mu swobody towarzyskiej i zaczął się czuć, jak u siebie w domu. Osoba Cheshama bardzo go zainteresowała:

— Pan jest jakoś dziwnie ubrany, drogi przyjacielu! — rzekł i zaśmiał się znowu.

W tej dopiero chwili Artur przypomniał sobie, że jest przecież w resztkach swego fraka, który podczas jego wędrówki do Romney Marsh przeszedł przez najrozmaitsze przygody, nie dodające mu bynajmniej świeżości.

— Tak, rzeczywiście. Przypuszczam, że muszę wyglądać nieco śmiesznie w tym stroju — odparł, patrząc się z boku na pułkownika.

— To jest takie stare ubranie, które on wkłada do roboty w polu — tłumaczył pułkownik. — Zwracając się zaś do pastora z bardzo oficjalną miną, zapytał:

— Co sprowadza pana do nas, panie?

— Nazywam się Blount. Pastor James Blount.

— Tak, tak, oczywiście! Czy pan widział może kogo, idąc do nas?

— Ani żywej duszy nie spotkałem — odparł pastor. — A dlaczego pan pyta? O tej porze roku i o tym czasie, nigdy nikogo niema tutaj nad brzegiem.

— Bo właśnie czekamy na jednego... przyjaciela — tłumaczył pułkownik swoje pytanie.

— Ach, tak! — zauważył pastor i całą sprawę załatwił nowym wybuchem wesołości. — A teraz proszę panów, możeby mnie kto poczęstował szklanką herbaty?

Zdziwiony tem powiedzeniem, Simonitz, spojrzał pytająco na swego przełożonego, oczekując od niego wskazówek. Pułkownik w odpowiedzi kiwnął potakująco głową i Simonitz udał się do kuchni. Za chwilę słychać było, jak napełniał kociołek wodą.

— Chciałem z panem się lepiej poznajomić — zaczął znowu duchowny, przysuwając sobie krzesło do fotela pułkownika. Nie wątpię, że pan tutaj dłużej zabawi.

— Boję się, że niestety wkrótce będę musiał opuścić tę willę — brzmiała odpowiedź, w której można było wyczuć tłumioną złość.

— Mimo to chciałem pana prosić, drogi panie, aby pan zechciał odwiedzić naszą małą zabawę wieczorną, która odbędzie się w tutejszej sali parafjalnej na dochód harcerzy. Pragniemy im przyjść z finansową pomocą. Niech pan mi wierzy, przyjacielu, że akcja ta warta jest poparcia. Chociaż to jest organizacja nadzwyczaj pożyteczna, to jednak nie posiada odpowiednich funduszów.

Raz rozpoczęty temat o harcerzach dał dziwnemu gościowi okazję do rozwinięcia licznych swoich poglądów na to zagadnienie, przyczem delektował się własnym głosem, znajdując go bardzo dźwięcznym, a swoje powiedzenia bardzo ciekawemi. Od czasu do czasu tylko przerywał swój wykład krótkim, urywanym śmiechem, który nieraz zjawiał się zupełnie nie w porę.

— Zabawa nasza będzie spewnością bardzo miłą imprezą. Znajdzie pan tam herbatę, ciasta i tym podobne rzeczy, wszystko dostarczone przez moich parafjan. Będzie też niezła muzyczka. Jestem przekonany, że pan śpiewa? — zapytał, patrząc z uśmiechem w oczy pułkownika.

— No... hm... hm... — pomrukiwał Sass, nie wiedząc, co właściwie odpowiedzieć.

— No, to świetnie, panie Sass. — Jestem pewny, że pan nam pomoże i zechce coś zaśpiewać podczas naszego zebrania.

— Ależ... ja...

— A pan, młody przyjacielu — zwrócił się do Cheshama — dlaczego pan nie miałby przyjść w tym dziwnym nieco stroju i czemś się zaprodukować?

Czując rewolwer na siebie zwrócony, Chesham uśmiechał się blado.

— Boję się, że już jutro wieczorem będę musiał opuścić ten dom — rzekł wkońcu.

— Przykro mi to słyszeć — odparł pastor. Ale w każdym razie zostanie tutaj pan Sass. Nieprawdaż?

Pułkownik poruszył się niespokojnie na miejscu. Coraz bardziej niemiły nastrój doznał pewnego odprężenia w chwili, kiedy porucznik Simonitz zjawił się z tacą, na której widniały liczne filiżanki i talerze. Postawiwszy tacę na stole, począł go nakrywać.

— Chciałbym jeszcze panu opowiedzieć o innych dziedzinach mojej działalności — zaczął znów, lubując się własnemi słowami, opowiadać pastor.— Musi pan wiedzieć, że posiadamy tutaj również szwalnie, oczywiście tylko dla pań, lecz — spojrzał wyraziście na porucznika Simonitz — potrzebowalibyśmy dobrowolnego instruktora harcerskiego.

Twarz Simonitza przybrała dziwny wyraz. Nie chcąc słyszeć dalszych wywodów pastora, udał się spowrotem do kuchni.

— Wie pan, nasz młody przyjaciel odznacza się wybitnie wojskową postawą — zauważył wkońcu pastor.

— Przypuszczam, że udział jego w pańskiej imprezie nie będzie możliwy — przerwał mu pułkownik.

Pastor jednak nie dał się zbić z tropu i replikował:

— Tu chodzi przecież o funkcje czysto honorowe. Zresztą możemy o tem pomówić na naszem przyjęciu, dzisiaj wieczorem. A teraz, moi przyjaciele pozwólcie mi, że wam opowiem o mojej parafji.

Żywa pogawędka prowadzona głównie przez pastora i nastrój panujący od chwili przyjścia dziwnego gościa, zupełnie uśpiły podejrzenia pułkownika. Przyglądał się temu młodemu człowiekowi, który robił wrażenie tak spokojnego, że nie można było go o cośkolwiek podejrzewać. Rozmyślał jednak nad sposobem, jakim możnaby pozbyć się gadatliwego pastora i wysłać go najprędzej spowrotem do domu.



Artur posłusznie wsiadł do kabiny.

Z kuchni dolatywał odgłos gotującej się wody. Powoli atmosfera całego domu stawała się normalną i przypominała zwykłe, domowe życie przeciętnej angielskiej rodziny.

Z chwilą jednak, kiedy pułkownik uspokojony tym nastrojem nieco mniej ściśle obserwował swego jeńca i chcąc wziąć coś ze stołu, odwrócił się w jego stronę, gość korzystając z nieuwagi Sassa rzucił się na pułkownika, przewracając równocześnie lampę naftową. W przeciągu kilku sekund pokój zaległy zupełne ciemności, a wszystko wydarzyło się w takiem tempie, że Artur ledwo mógł zorjentować się w sytuacji.

— Prędko uciekaj! — posłyszał obok siebie głos pastora.

W tej chwili zdał sobie sprawę, kim właściwie był ten dziwny pastor, który od samego początku wydawał mu się nieco podejrzanym. Śmiejący się duchowny nie był nikim innym, jak owym młodym człowiekiem, który dwukrotnie już wyratował go z opresji.

Jeszcze Artur nie zdołał ochłonąć ze zdziwienia i powziąć jakąkolwiek decyzję, gdy dał się słyszeć huk strzału. Równocześnie usłyszał Artur głos pułkownika robiący wrażenie, jakby dochodził z zdławionego gardła.

— Simonitz! Gdzie jesteś?

Artur znalazł się jednym susem w korytarzu i właśnie starał się otworzyć drzwi. Manipulując koło ich zamku, usłyszał znowu strzał i równocześnie prawie że koło jego głowy kula utkwiła w ścianie. Używając całej swej siły, zdołał wkońcu otworzyć drzwi wchodowe i począł biec naoślep ławicami piasku.

Biegnąc, oglądał się ciągle za siebie, chcąc sprawdzić, jaki obrót wzięła walka, która właśnie się rozpoczęła. Lecz już płomienie wydostawały się oknem nazewnątrz i bardzo szybko ogarniały coraz większe połacie domu, tem więcej, że wiatr wiał z niezwykłą siłą.

I znów dał się słyszeć w ciemnościach nowy strzał, któremu tym razem towarzyszył okrzyk bólu. Artur stanął jak wryty. Czy to nie przypadkiem jego oswobodziciel krzyczał tak przeraźliwie? Już zawracał z drogi, gdyż nie chciał swego wybawcy opuścić w tak niebezpiecznej chwili. Zimny wiatr o słonym posmaku ogarniał jego postać, smagając go po twarzy. Dom tymczasem palił się już coraz jaśniejszym płomieniem.

Naraz wyłoniła się z ciemności jakaś tajemnicza postać, którą Artur poznał jedynie po charakterystycznym śmiechu.

— Trudne to było zadanie — rzekł do Artura, ale udało się wkońcu.

— Ale kim pan jest właściwie? — pytał zdumiony tem wszystkiem niedoszły książę Korawji.

— Proszę nie zadawać niepotrzebnych pytań — brzmiała odpowiedź. — Niech pan ucieka wzdłuż brzegu i stara się pozostawać w odległości pół mili od morza. Ktoś czeka na pana! Au revoir! Życzę panu szczęścia.

Mówiąc te słowa, tajemnicza postać zniknęła w ciemności.

Nie było na co czekać. Z sercem bijącem tak silnie, że słyszał je w nocnej ciszy, Artur zaczął biec wzdłuż brzegu, rozglądając się, czy nie zauważy osoby, która według słów jego zbawcy, miała na niego czekać.

ROZDZIAŁ XXXIV.

Helena ukazuje się na widnokręgu.

Biegnąc po ławicach piasku i upadając razporaz lub też grzęznąc w nim, Arturowi zdawało się, że droga jego trwa całe wieki. Zdaleka dochodził go szum morza i wiatr przynosił jego pomruk. Naraz w ciemnościach wyrosła obok Cheshama jakaś postać i ujęła go za rękę. Poznał ją natychmiast.

— Heleno!

— Arturze!

Młodzi ludzie instynktownie przytulili się do siebie i całowali gorąco. Teraz dopiero na tem pustkowiu nadmorskiem oboje zdali sobie jasno sprawę, że kochali się od dawna, i że nie mogą żyć bez siebie. W jednej chwili wszystkie dotychczasowe przejścia, ściganie przez policję, dnie pełne grozy, spędzone w klatce u cygana, wkońcu niewola w willi nadmorskiej i pożar jej zostało zapomniane w tym jednym, namiętnym pocałunku.

— Jak się czujesz? — zapytała, głosem pełnym niepokoju.

— Świetnie — odparł Artur i przypieczętował swoją odpowiedź nowym pocałunkiem.

— Ależ to jest szaleństwo! — wyszeptała.

Piękne, wspaniałe szaleństwo — zaśmiał się. — Kocham ciebie, zawsze ciebie kochałem.

— I ja ciebie kocham! O, tak bardzo, tak silnie!

Uczucia wybuchające z niepowstrzymaną siłą czyniły ich coraz bardziej milczącymi. Było im ze sobą dobrze, bo nic ich nie dzieliło, a chociaż w dalszym ciągu sytuacja niedoszłego księcia Korawji była pełna niebezpieczeństw, to jednak oboje przepełnieni byli optymizmem.

— Musimy uciekać, drogi — szepnęła Helena.

Zaczęli iść brzegiem i wkońcu znaleźli się w polu, na którem zdaleka dała się widzieć sylwetka olbrzymiego jakiegoś ptaka, czy budowli. Podszedłszy bliżej Artur stwierdził, że jest to samolot.

— Tu samolot? — zapytał zdziwiony Artur.

— Tak — odrzekła. — Wsiadaj prędko.

— A co się z tobą stanie? — zapytał Artur, z niepokojem w głosie.

— Lecę z tobą.

Wiedząc, że już nie rozstanie się ze swoją ukochaną, Artur nie stawiał dalszych pytań, lecz posłusznie wsiadł do kabiny. Przy sterze siedział pilot, czekający tylko na rozkaz odlotu. Samolot posiadał silny motor, tak że można było podjąć w nim dłuższą podróż, tem więcej, iż kabina zaopatrzona była we wszelkie komfortowe urządzenia.

Motor zaczął działać. Koła samolotu poruszały się powoli po polu i wkrótce wielki, czarny ptak skierował się w stronę morza.

Jeszcze kilka chwil, a pod stopami Artura i Heleny widać było szumiące, ciemne morze, na którem tu i ówdzie tylko widać było jakieś światełko, znajdujące się na jednym z okrętów handlowych, kursujących między Francją a Anglją. W pewnej chwili pasażerowie samolotu zauważyli wielki słup ognia nad brzegiem. Była to paląca się willa. Patrząc się na zegarek, świecący w ciemnościach, Chesham stwierdził, że jest właśnie punkt szósta.

— Szósta godzina!

Była to przecież godzina, w której dwóch fanatyków postanowiło pozbawić życia swego wroga. A teraz wszystko już było poza nimi podobne do przykrego, koszmarnego snu. Wkrótce znajdowali się niedalego brzegów Francji.

Artur wyciągnął rękę w kierunku ukazującego się lądu.

— Dokąd jedziemy właściwie? — zapytał, krzycząc głośno, aby Helena mogła go, mimo ogromnego hałasu motoru, usłyszeć.

— Do Korawji — odparła!

Objął ją ramieniem i ucałował.

ROZDZIAŁ XXXV.

Rewolucja!

— Była to ogromna, romantyczna przygoda, — mówił sobie w duchu Artur, gdy siedział w sali tronowej pałacu w Lontz, stolicy Korawji. Patrząc na olbrzymie weneckie okna tej sali, na piękne meble w stylu Ludwika XV, na wspaniałe lustra i wielkie portrety dawnych władców Korawji, odnosiło się wrażenie, że wszystkie dotychczasowe przykrości i przejścia sowicie się opłaciły.

Z wielkich tych okien roztaczał się wspaniały widok na miasto zbudowane na skałach i przedstawiające ciekawy obraz średniowiecznych budowli, pomieszanych z nowoczesnemi gmachami.

NIE ROZSTAJEMY SIĘ Z RĘKAWICZKAMI.



Nowy model rękawiczek do jesiennego kostjumu.

Oszczędna moda powojenna trzymała długo zdala od nas miraż pięknej rękawiczki. Prawie że o niej zapomniała, nie chcąc nawet tym drobiazgiem powiększać kosztów ubioru, redukującego się wówczas do prostej, krótkiej „robe-chemise".

Im więcej od tego czasu sukienki nasze nabrały właściwego, kobiecego charakteru, lubując się w szczególikach i drobiazgach, tem większy nacisk kładzie się na ważność rękawiczki, jako uzupełnienia każdego ubioru.

Nie rozstajemy się poprostu z rękawiczkami. Do zwykłej sukienki na ulicę, czy skromnego kostjumu, dobieramy rękawiczki z tego samego materjału. — Krótsze czy dłuższe sztylpy ozdabia się deseniem perforowanym lub naszywanym z barwnej skórki lub aksamitu. Tworzy się te same motywy na torebkach, paskach, często nawet na pantofelkach, co rzeczywiście daje pole do popisu w tej nie ciasnej bynajmniej dziedzinie.

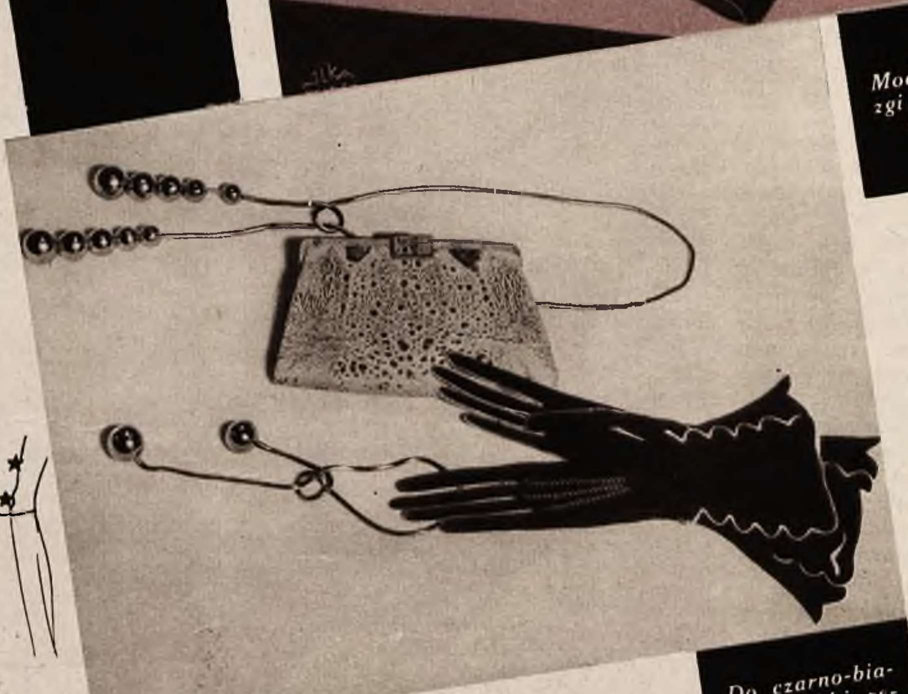
Inne zasady odnoszą się do rękawiczek, noszonych przy lekkich sukienkach lata. Będą to albo koronkowe cacka, ręcznie szydełkowane, albo wykonane z koronek prawdziwych czy gipiury. Sukienki z organdi pozwalają na użycie długich rękawiczek z materjału sukienki, czy to będą rękawiczki na ulicę, czy też na użytek wieczorowy. W takim wypadku modniejsze są jednak rękawiczki jednotonowe w kontrastującym z sukienką kolorze.

Florence.

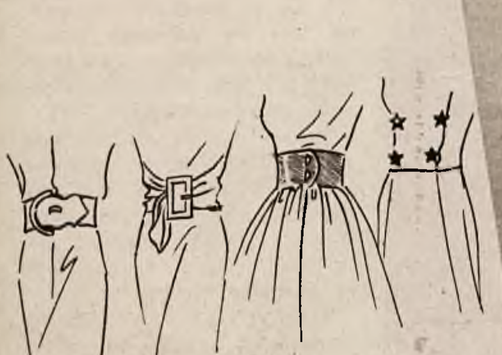




Modne drobiazgi tualetowe ze skóry.



Do czarno-białej torebki, rękawiczki z białą wypustką.



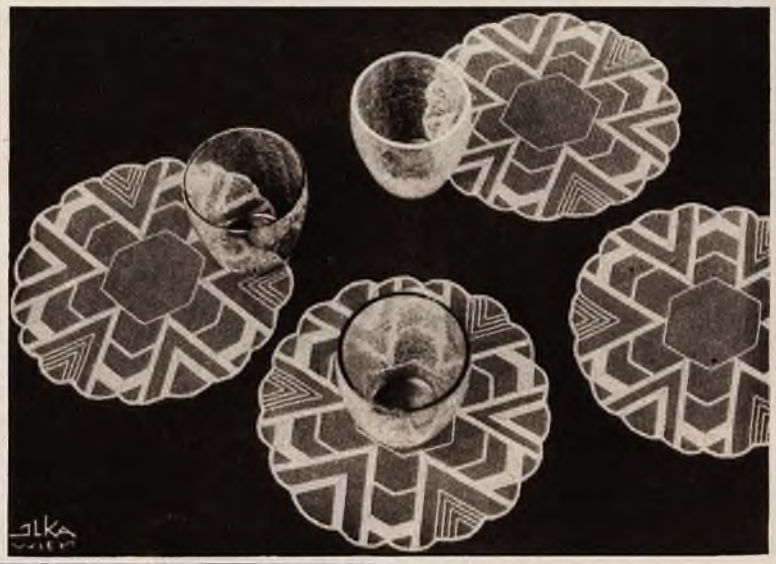
SZKŁO, MAJOLIKA, PORCELANA.



Serwis herbaciany ze srebra i porcelany na srebrnej podłużnej tacce.



Oto wzór jak można urządzić miły kącik nowoczesnego pokoju.



Małe czarki ze szkła imitującego ośnieżony lód, ustawione na serweteczkach wyszywanych na tiulu.



Zastawa do likieru z ciemno-brązowego szkła w gęste złote paski. Podstawka z laki, obrzeżonej mosiężnym paskiem.

Dobry gust pani domu poznajemy nietylko po tem, jak sama się ubiera i jak ubiera dzieci, ale także w dużej mierze po urządzeniu mieszkania i doborze drobiazgów, które służą do codziennego użytku lub przyozdabiać mają tylko tylko wnętrze pokoju, przydając mu bardziej pogodnego, miłego charakteru.

Te drobiazgi, to najczęściej wyroby ze szkła, majoliki, porcelany, srebra lub najrozmaitszych imitacyj. Jeżeli nie otrzymuje się ich, jak często jest w zwyczaju, w formie upominku od rodziny lub przyjaciół, lecz dobiera je wedle własnego gustu, trzeba najpierw zastanowić się i przestudjować urządzenie danego pokoju, aby nowy szczegół harmonizował pod każdym względem z całością urządzenia, był jakby jego uśmiechem, wyrażonym barwną plamą, czy właściwym danemu przedmiotowi kształtem.

Nasze prabaki układały porcelanowe figurki, bibelociki i drobiazgi w zamykanych, oszklonych serwantkach, których lustrzane ściany odbijały całą zawartość drogocennych cacek. A zegar kurantowy wygrywał co godzinę miłe, staroświeckie melodje... Powaga mrocznych komnat i ciężkich stylowych mebli, znamionowała wnętrza modrzewiowych czy cisowych dworków.

Dziś pomieszkania nasze charakteryzuje przedewszystkiem nuta wesoła, jak wesoła jest muzyka radjowa, wnosząca miłe ożywienie w każdy już prawie dom. Jasne ściany, jasne najczęściej drzewo i obicia mebli, ustawionych na błyszczącej, też jasnej posadzce parkietowej, to cechy charakterystyczne współczesnych wnętrz. Na tem tle ustawia pani domu urocze drobiazgi już nie w zamkniętej serwantce, lecz na stolikach, półeczkach i we wnękach ścian, specjalnie w tym celu przewidzianych przez architektów.

Drobne serweteczki pod każdy drobiazg są nieodzownem uzupełnieniem, tłem, na którem szkło, kryształy czy porcelany, wyglądają znacznie korzystniej, niżeli bezpośrednio na politurze stolika.

A latem oczy wszystkich domowników z radością patrzą na kwiaty, układane rączką pani domu w każdym flakonie, kloszu czy malutkiej czareczce...

Elwira.

ŻYCIE artystyczne

FOOTBALOWA MODA.



Znana artystka filmowa, Maureen O'Sullivan, która występowała wielokrotnie w rolach sportowych wspólnie ze słynnym pływakiem Weissmüllerem, lansuje obecnie nową modę, polegającą na noszeniu czapki i torebki, imitujących z wyglądu piłkę nożną. Na zdjęciu artystka w swej nowej kreacji, w której i kurtka wykonana jest z grubej irchy, szytej bardzo szerokim ściegiem.

IGNACY PINKAS.



Dnia 4-go sierpnia rozstał się przedwcześnie z tym światem, liczący zaledwie 42 lat, utalentowany krakowski artysta malarz, śp. Ignacy Pinkas, który pozostawił po sobie wysoce cenny dorobek artystyczny.

Na zdjęciu: Autoportret śp. Ign. Pinkasa.

SŁOWIK WARSZAWY.



P. Lucy Szczepańska, jasnowłose zjawisko na scenie Teatru Wielkiego w Warszawie, która po sukcesach w „Krainie Uśmiechu", „Niemej z Portici" i „Hrabiu Luksemburgu" reżyserji Witolda Zdzitowieckiego, objęła tytułową rolę w sławnej operetce amerykańskiej „Rose Marie", granej przez siedem lat z rzędu z niebywałem powodzeniem na scenach obu kontynentów.

OLGA KAMIEŃSKA PODRÓŻUJE...



Bawi w Gdyni na wywczasach letnich wybitna pieśniarka, p. Olga Kamieńska, znana naszym Czytelnikom z wielu koncertów solowych i występów przed mikrofonem Polskiego Radja. Pani Olga w pełni korzysta z wypoczynku, ciesząc się słońcem i zawsze pięknem polskiem morzem. Poza tem uprawia ukochany przez siebie sport samochodowy.

Na zdjęciu Artystka w swej „Cytrynce", na tle portu gdyńskiego.

NOWY TALENT MALARSKI.

Poniżej: Staraniem Związku Promienistych, otwarto w tych dniach, w Katolickim Domu akademickim w Krakowie zajmującą wystawę prac 22-letniego Stefana Ziemin-Żechowskiego. W rysunkowych, fantastycznych kompozycjach, artysta, stojący pod wpływem Szukalskiego, wyraża plastycznie bunt młodzieńczej duszy przeciwko tyranji szarego życia. Wystawa zasługuje na zapoznanie się z jej romantyczną treścią.



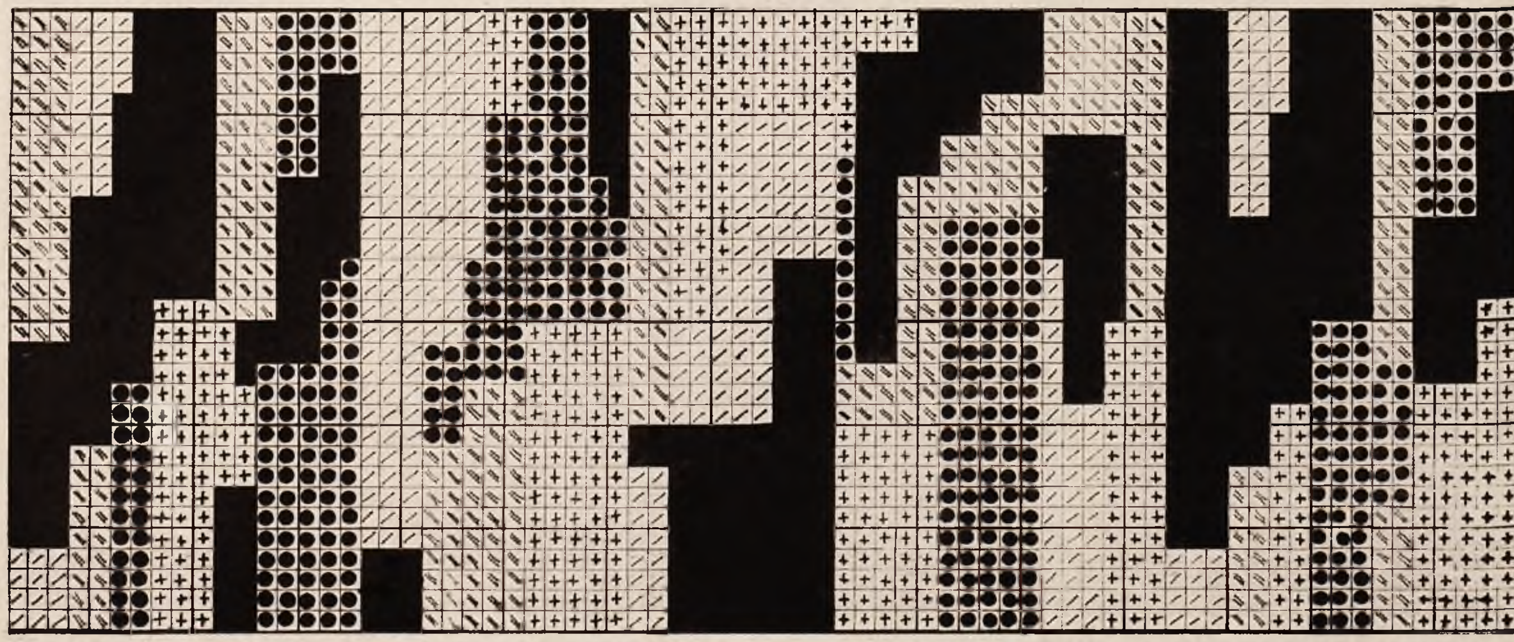
ARTYSTYCZNA DEKORACJA.

Poniżej: Antoni Wasilewski po raz wtóry wykazał poza wybitnym talentem karykaturzysty swe dekoracyjne zdolności. W dniu pogrzebu Marszałka ozdobił w uroczystym żałobnym charakterze, plac kolejowy. W dniu Zjazdu legjonowego w Krakowie, rozwiązał ten sam dekoracyjny problem, w pomysłowej i pełnej artystycznej prostoty formie (jak to widzimy na zamieszczonej poniżej fotografji).

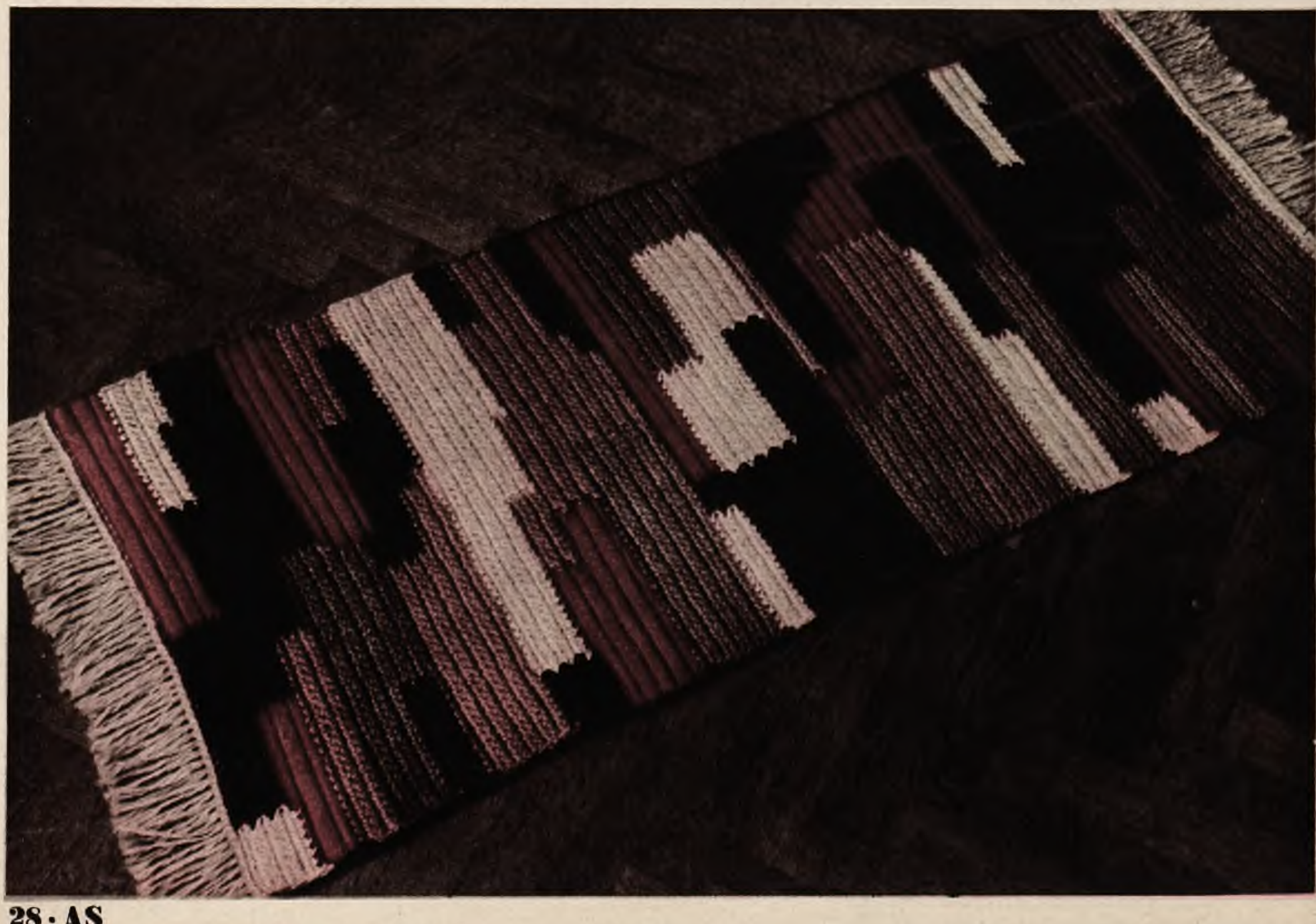


ZROBIĘ TO SAMA

DYWANIKI SZYDEŁKOWE



Wzór tego dywanika wykonujemy następującemi kolorami: ciemne pola — kolor ciemnobrązowy, kropki — brąz złotawy, krzyżyki — popielaty o średnim odcieniu, kreski pojedyncze — jasno żółty, kreski podwójne — czerwony. Frendzle — kolor żółty. Do zrobienia tego dywanika używamy wełny perskiej lub smyrneńskiej (Trójkąt w kole) i szydełka numer 4 lub 5.



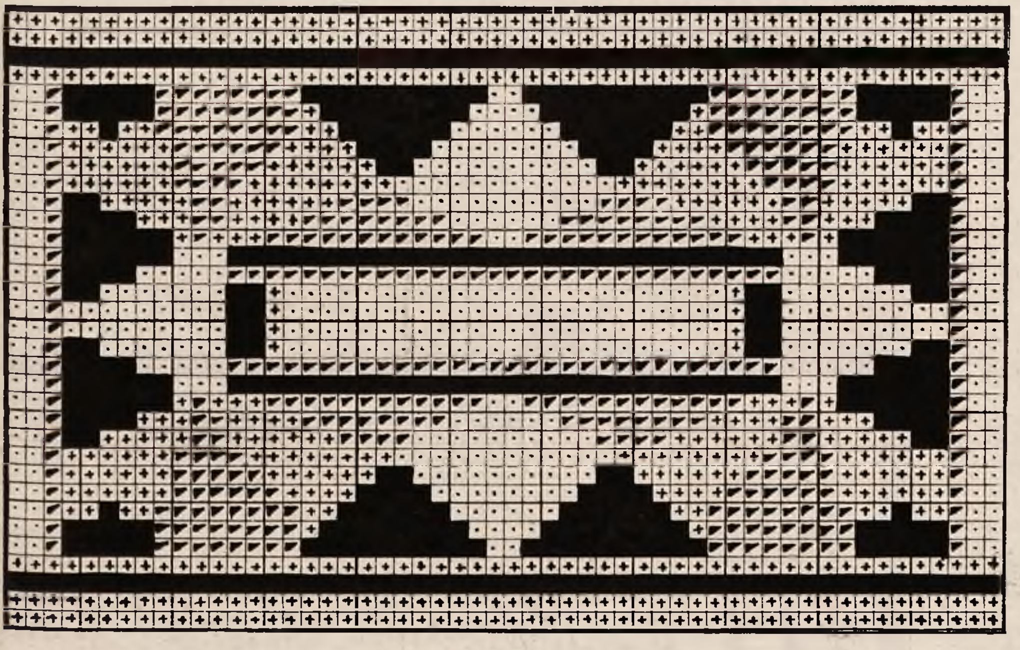
Skromne przeważnie środki ekonomiczne nie pozwalają pani domu na wykwintne urządzenie pomieszkania. Tego i owego ciągle zazwyczaj brakuje, a coraz to nowe wymagania własne i domowników każą oglądać się za jak najtańszemi sposobami uzyskania wszystkich potrzebnych do domu szczegółów urządzenia. Wśród nich jakże ważne miejsce zajmują dywany. Piękny dywan to często zupełnie niedosiężne pragnienie. Więc wprawia piękna pani w ruch swe rączki i wykonuje sama dywany w kilku technikach.

Podajemy obok interesujące zdjęcia dywaników, wykonanych z grubszej wełny szydełkowym ściegiem półsłupkowym. Dokładne rozmieszczenie kolorów, które tu odgrywają decydującą rolę, widzimy na krateczkowanych wzorach. Jedną krateczkę liczymy tutaj za dwa półsłupki lub trzy, zależnie od grubości wełny, używanej do wykonania dywanika i numeru szydełka, którym się pracę wykonuje. Dobrze nada się tutaj wełna perska lub smyrneńska (Trójkąt w kole).

Dywan na stronie obok ma w oryginale 136 cm szerokości i 216 cm długości. Ponieważ wzór jest ciągły, więc można go dowolnie przedłużyć, powtarzając wzór. Przechodząc z koloru na kolor, wykonujemy ostatnie oczko danego koloru już w połączeniu z nitką następnego koloru, pozostawiając pod spodem dłuższe końce odciętych nitek, które potem wrabia się igłą w tło, niewidocznym ściegiem. Gdy dany kolor powtarza się ponad sobą, to możemy nitek wcale nie obcinać, lecz zostawiać je do następnego rzędu.

Wzór dywanika poniżej, ma w oryginale 120 cm szerokości i 292 cm długości. Wykonuje się go tak samo jak poprzedni, przyczem prawie wszystkie kolory mogą pozostawać bez odcinania nitki, bo wzór na to pozwala.

Mewa.



Dywanik w czterech kolorach: ciemne pola — kolor brązowy, krzyżyki — czerwony w odcieniu cyklamen, trójkąty — niebieski w średnim odcieniu, kropki — jasno żółty. Frendzle — niebieski. Użyjemy wełny perskiej lub smyrneńskiej (Trójkąt w kole) i szydełka Nr. 4 lub 5.



PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

TARTELETKI Z KRUCHEGO CIASTA. 30 dkg mąki zagnieść z 20 dkg masła, 10 dkg cukru i 1 całem jajem oraz skórką otartą z kawałka cytryny. Ciasto dość tęgie stawia się na kilka godzin do zimna. Wywałkowane na grubość 1 centymetra, wykrawuje się okrągłą formą placuszki, otacza każdy z nich wałeczkiem z ciasta, posmarowawszy go przedtem białkiem ,aby się trzymał. Tak przygotowane tarteletki piecze się na blasze, wysypanej lekko mąką. Ostudzone po upieczeniu, napełnia się wedle upodobania surowemi siekanemi owocami i kremem lub bitą śmietaną, zmieszaną z owocami.

OGÓRKI Z POMIDORAMI. 25 dkg obranych ogórków kraje się w kostkę po ich poprzedniem oczyszczeniu z miąższu i pestek. Na łyżce masła dusi się 25 dkg pomidorów, przeciera przez sito, miesza z ogórkami i dusi razem z dodatkiem usmażonej osobno siekanej cebulki; wkońcu dodaje się zasmażkę z łyżką masła i mąki, podlewa troszką rosołu i wydaje w rancie z włoskim lub domowym makaronem.

HACHE CIELĘCE Z SADZONEMI JAJAMI. 75 dkg cielęciny z dyszka lub łopatki upiec na maśle i zemleć dwa razy. Osobną zrobić zasmażkę z 8 dkg masła i 6 dkg mąki, zalać ją rosołem, zagotować, zaprawić solą, pieprzem, sokiem cytrynowym oraz kieliszkiem wina, włożyć zmielone mięso i zagotować. Wkońcu dodaje się 4 łyżki gęstej kwaśnej śmietany i zagotowuje raz jeszcze. Hache układa się kopiato na środku półmiska, otacza sadzonemi jajami na przemian z krokietami z francuskiego ciasta w formie półksiężyców.

RULADA Z MIĘSA WOŁOWEGO. 75 dkg zrazówki lub biodrowej, rozbić na cienki płat, pokryć nadzianką sporządzoną z różnych zmielonych jarzyn i grzybów oraz paru łyżek tartego ciemnego chleba, zwinąć owiązać nitką i dusić na młodej słoninie, cebuli i łyżce pomidorowej masy. Mięso dusi się około dwu godzin, następnie wyjmuje, ostudza troszkę, poczem zdejmuje nitkę i kraje w plastry. Sos z pod mięsa przeciera się, podprawia szklaneczką czerwonego wina i łyżeczką extraktu buljonowego i zagotowuje. O ile sos nie jest dość gęsty, dodaje się łyżkę tartego chleba i zagotowuje, rozcierając. Sosem polewa się mięso na półmisku, jako dodatek ziemniaczki duszone (nie gotowane) w troszce wody i masła.

SZCZUPAK NA CHRZANIE. 15 dkg masła roztopić w brytwance, dodać dwie łyżki tartego, odparzonego chrzanu, ułożyć na tem poprzednio, oczyszczonego szczupaka w całości, polać filiżanką gęstej kwaśnej śmietany i wstawić do piecyka na 25—30 minut, polewając go pilnie w czasie pieczenia. Podaje się z ziemniaczkami lub makaronem.

GALARETKA Z JABŁEK. Na doskonałą tę galaretkę użyć można każdego rodzaju jabłek, nawet opadłych i niezdatnych na inny użytek. Przepis, którego należy się ściśle trzymać, aby galaretka się udała jest następujący: 5 kg jabłek wymyć i pokrajać wraz z łupką, odrzucając rozumie się części zepsute i robaczywe. W kamiennym garnku lub dobrze polewanym emaljowym (nie aluminiowym), gotuje się jabłka, nalane wodą tylko do przykrycia, mięszając, aby się nie przypaliły, łyżką srebrną lub drewnianą, nigdy blaszaną, od której owoc czernieje i smak zmienia. Rozgotowaną miazgę wylewa się na czystą ściereczkę niezbyt gęstą, umocowaną między czterema nóżkami odwróconego stołka kuchennego, podstawiwszy poprzednio pod ściereczkę miskę, do której sok ma ściekać.

Cały aparat pozostawiamy przez noc w spokojnem miejscu. Sok, który sam bez wyciskania ścieknie, odmierza się następnie. Na każdy litr soku bierze się 50 dkg cukru, dodaje laseczkę wanilji, rozdartą na długość, i gotuje na słabym ogniu, uważając, aby się galaretka nie przypaliła. Zwykle po jedno-godzinnem gotowaniu galaretka jest gotowa, należy jednak przed ostudzeniem spróbować przez spuszczenie kropli na suchy talerzyk. O ile kropla się nie rozlewa, a po wystudzeniu łatwo się da w całości zdjąć z talerzyka, galaretka jest gotowa, w razie przeciwnym, należy gotować dalej; gorącą konserwę zlewa się do słojów. Galaretka ta sporządzona z jabłek jasno-zielonych, ma po ugotowaniu kolor bursztynu. Bardzo piękna jest też z jabłek czerwonych tzn. malinówek, jest wtedy rubinowo-czerwona, zawsze jak szkło przezroczysta.

Oszczędna pani domu przeciera pozostałą po ocieknięciu resztę miazgi jabłecznej i gotuje ją z cukrem w proporcji tej samej co galaretkę z dodaniem wanilji lub skórki cytrynowej, na powidełka, które są może mniej ładne, lecz w domu bardzo przydatne. Sc. Ko.

APARAT DO CHŁODZENIA NAPOJÓW WE FLASZKACH.



Zastąpiony być może gumową rurką, którą się przytwierdza do kurka wodociągu. Flaszki umieszczone w muszli wodociągu owija się rurką, przez którą stale przepływająca zimna woda utrzymuje napoje w niskiej temperaturze.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat. i żyd.	Tydzień 33 — SIERPIEŃ — Dni 31
Niedziela **11** Zuzanny Prota 12 Ab	Zupa z świeżych grzybków. Ogórki z pomidorami w rancie z włoskiego makaronu. Potrawa z pulardy z ryżem. Tarteletki z bitą śmietaną. <u>Kolacja</u>: Pieczona szynka na zimno z ogórkiem.
Poniedziałek **12** Klary 13 Ab	Zimna zupa z fasoli szparagowej. Jaja w sosie pomidorowym z ryżem. Rulada z mięsa wołowego z ziemniaczkami duszonemi w maśle. Kompot z jabłek. <u>Kolacja</u>: Kalafior z masłem, chleb, ser.
Wtorek **13** Hipolita 14 Ab	Zupa z zielonego groszku. Biała kapusta z wody z rumienionem masłem. Mostek cielęcy nadziewany. Placek drożdżowy z morelami. <u>Kolacja</u>: Grzybki duszone. Chleb, masło.
Środa **14** Euzebjusza 15 Ab	Chłodnik z ogórków. Sztuka mięsa z sosem śmietanowym. Pieczone kurczęta z marchewką i ziemniaczkami. Strudel z borówkami. <u>Kolacja</u>: Jaja faszerowane.
Czwartek **15** Wniebow. NPM. 16 Ab	Zupa rakowa z ryżem. Haché cielęce z sadzonemi jajami. Wątróbka cielęca po wiedeńsku z ziemniaczkami i mizerją. Pianka malinowa z waflami. <u>Kolacja</u>: Zimny pasztet z wątróbki z sałatą.
Piątek **16** Jacka Rocha 17 Ab	Zupa borówczana zimna z grzankami. Omlet francuski z grzybkami. Szczupak pikantny na chrzanie z makaronem. Drożdżowe knedelki z morelami. <u>Kolacja</u>: Fasolka szparagowa i kalafior.
Sobota **17** nastazego Ab	Rosół z lanem ciastem. Nóżki cielęce smażone z ziemniaczkami. Paprykarz z kurcząt z ryżem. Naleśniki z powidełkiem z jabłek. <u>Kolacja</u>: Makaron włoski z grzybkami.

WSPOMNIENIA ZLOTU HARCERSKIEGO W SPALE

W KARYKATURZE SKAUTA WĘGIERSKIEGO CZABÓKA.



NIESPODZIANKA.

Teraz dopiero zacznie się „głód w Spale"...



NOCNY ALARM.

Nieprzyjaciel! Ratuj się kto może!



SALON FRYZJERSKI.

— Czy umyć także głowę?
— Nie, dziękuję, myłem właśnie na Jamboree w Gödöllö...

(Dokończenie ze str. 8-ej).

Za nowym wynalazkiem zdawały się przemawiać słuszne racje. Primo, w wędkarstwie, które przecież dla sportowych celów służyć miało, odpadała niemiła konieczność używania jako przynęty, żywych istot, ryb i owadów, które nasadzone na hak żywcem i tkwiąc na haku nieraz długie kwadranse, znosić musiały bolesne katusze, tem samem sport zamieniając na dręczenie zwierząt, następnie zaś, wędkarz sportowiec, mając zawsze przy sobie sortyment gotowej przynęty, nie potrzebował tracić zbytecznie czasu na wyszukiwanie, bądź nabywanie rybek i owadów do łowienia. Raz zakupione sztuczne przynęty, stanowiły wyekwipowanie stałe sportowca.

Próby udały się znakomicie. Ryba znęcona doskonałą kopją prawdziwego owada, brała chętnie przynętę i wędrowała jako łup do torby wędkarza.

Pierwsze dość prymitywne ryby i owady sztuczne, dały asumpt producentom akcesoryj wędkarskich do ciągłego doskonalenia się. Prym pod tym względem trzymać zaczęli Anglicy, a światowej sławy angielska firma Braci Hardy w Aluwick, po dziś dzień berło pierwszeństwa w produkcji akcesorjów łowieckich dzierży.

Gdy mówić nam wypadło o wysokiej klasie wędkarstwa sportowego, należy w nim, poza wędkarstwem gruntowem, odróżnić dwa różnorodne rodzaje. To spinning i mucha.

Wędkarstwo spinningowe, wymagające masywnie, acz elastycznie zmontowanej wędki, na końcu której ponad korkową rękojeścią mieści się metalowy kołowrotek, polega na zręcznem wyrzucania sztucznej ryby, która posiadając ukośnie wbudowane (na podobieństwo śruby okrętowej) skrzela, bądź blaszki, ciągniona przez toń obraca się ustawicznie, imitując tem samem ruchy chorej ryby. Ruch błyskotliwego jej ciałka, chwiejny i obrotowy nęci, w głębinie swym widokiem drapieżcę wód szczupaka czy okonia, który na widok chorej małej siostrzycy, atakuje ją z zarośli.

Błyskawicznym ruchem torpedy dopada przynętę, w nienasyconą nigdy paszczę chwytając rzekomą ofiarę, chwytając jednak równocześnie kotwicowo wmontowane w sztuczną rybkę haki, które mu się wbijają w podniebienie, więżąc na lince wędkarza. Gdy silnem szarpnięciem ręki anonsuje szczupak wędkarzowi, że pochwycił już przynętę, następuje kolejno praca kołowrotka, na który nawinięta jest linka wędki i który winien doholować rybę na brzeg.

Poza rybkami t. zw. „Devonami", przemysł wędkarski, w licznych katalogach daje sportowcowi do dyspozycji całe komplety błyskawek, które budową przypominają rybkę sztuczną, równie dobrze ją zastępując w spinningu, czyli wędkarstwie rzutowem. Poza okoniem i szczupakiem oraz pstrągiem (łowionym na małe błyskawki), a więc rybami słodkowodnemi, naszej połaci geograficznej, ofiarą wędki spinningowej padają z rąk sportowców wędkarzy wielkie matadory wód podzwrotnikowych: rekiny, młoty, piły i raje. Uzbrojony w wędkę spinningową, udaje się na Ocean Spokojny i Morze Karaibskie, sportsman angielski F. A. Mitschell Hedges, przysparzając londyńskiemu muzeum oceanograficznemu okazów olbrzymów morskich do 700 funtów dochodzących, łapanych przy pomocy wędki i kołowrotka.

Inną, wysoką klasą sportowego wędkarstwa jest polowanie na rybie papugi wód naszych — tęczowe pstrągi.

Połów muchowy.

Wędka muchówka, posiadając również urządzenie dla kołowrotka, różni się zasadniczo od twardej wędki spinningowej. Musi być lekką, mocną, lecz nadewszystko elastyczną. Szybko, z sykiem, wybiega nad toń przyponem, na końcu którego przymocowana jest sztuczna mucha.

Maestrji rzutu muchą na wodę (tak rzucać, by owad opadł delikatnie na powierzchnię wody, imitując prawdziwego owada, strąconego na flukta obcego żywiołu), uczyć się trzeba bardzo długo, gdyż sprytny acz łakomy pstrąg, bardzo szybko zorjentuje się w nienaturalnych ruchach owada.

Bynajmniej nie jest rzeczą obojętną, jakich ruchów należy używać do tego i na jaką muchę, barwisty mały drapieżca pójdzie. Jest kilka tysięcy gatunków sztucznego owadu, którego należy używać w zależności od pory roku, pogody i dnia. O metodach łapania sportowego pstrąga istnieje cała bogata literatura, a systemy łowienia zajęłyby w opisie obszerny tom.

Wędkarz musi być ciągle w ruchu, zmieniać miejsca, doszukiwać się końca prądu, bądź cichej zatoki w pobliżu, głównego strumienia, gdzie pstrąg staje, musi polować na niego i być wielce ostrożnym, gdyż mały pstrąg pilnie czuwa, a razi go i płoszy nawet cień nad wodą.

O sportowem wędkarstwie istnieje cała bogata literatura... w obcych językach. Sportowe wędkarstwo jest sportem królewskim... niestety za granicą. W naszej ojczyźnie poza kilku racjonalnemi klubami, wędkarstwo jest szarym kopciuszkiem, spotykającym się z lekceważeniem i omal-że pogardą.

Kolosalne (bo do 20 kilogramów w wadze) łososie wód naszej północy, łapie się sieciami, a dobija.. drągiem. W Anglji muchowy połów łososia jest tą samą klasą polowania, co polowanie na bengalskiego tygrysa.

Sportowe wędkarstwo dostępniejsze dla każdego od myślistwa, posiadające w naszym kraju, wielkie możliwości z powodu przepięknych obszarów wodnych, rzek, strumieni i jezior, tak wielce jest niedoceniane.

A szkoda.

Daje możność obcowania i poznawania fauny wodnej, daje możność przebywania zdrowego nad wodą i daje emocje... potężniejsze od kosztownych hazardów.

To warto poznać...

NA SCENIE.

Już przy czytaniu repertuaru teatrów stwierdzamy, że w sierpniu mamy większą kanikułę, niż w lipcu. Wskazują na to tytuły sztuk granych w teatrach.

„Szczęśliwy pech", komedja muzyczna w opracowaniu Hemara, grany jest w **Teatrze Letnim w Warszawie.** Nie można powiedzieć, by widz zabłąkany na tę komedję do teatru, twierdził, że miał rzeczywiście szczęśliwego pecha. To słówko „szczęśliwy" opuści. Sztuczka jest bardzo błaha, a Romanówna i Bodo w głów-



Godło swe wziął „Cyrulik Warszawski" z ratusza stołecznego i dowcipnie je przekształcił.

nych rolach robią co mogą. Że niebardzo mogą rozweselić publiczność, nie ich to wina. Podobno spontaniczny wybuch śmiechu na tem przedstawieniu zdarza się tylko raz: gdy Romanówna mówi: — Jestem taki mały pyłek. — Bodo zapytuje: — Przepraszam, jaka pierwsza litera?

Zato inauguracyjny program **„Cyrulika Warszawskiego"**, nowego teatrzyku rewjowego otworzonego przez Jarosy'ego, bardzo się podobał. „Cyrulik" ma aspiracje wybitnie literackie, odrzuca nóżki girls, wielkie orkiestry i przepych dekoracyj. Niech przemówi do publiczności i rozbawi ją dobry tekst i dobre wykonanie. Świetne teksty dali Tuwim i Hemar, no i sam Jarosy, a w zespole znalazła publiczność Kalinównę, Górską, Terné, Jadzię Andrzejewską, Znicza, Toma, Koszutskiego i Minowicza.

We Lwowie w Teatrze Rozmaitości graną jest komedja aż czterech autorów **„Panna młoda z dachu"**. Gdzie kucharek sześć... Tu znów czterech autorów... i ten sam skutek. Komedyjka słabiutka, a wysiłki reżysera Krasnowieckiego, „panny młodej" Malanowicz i Kaczmarskiego nie zdołały uratować „Panny młodej z dachu" na deskach teatru.

W **Poznaniu w Teatrze Polskim** grany jest również kanikularny **„Przyjaciel domu"**, ale zato już wkrótce wystąpi tam **Stefan Jaracz** w swej wielkiej kreacji doktora w **„Krzyku"**.

W Bydgoszczy Stanisław Dąbrowski dobrze reżysersko przygotował **„Ich czworo"**, świetną sztukę Gabrjeli **Zapolskiej.**

(swb)

NOWE KSIĄŻKI.

Dobrze redagowane przez Mateusza Glińskiego czasopismo „Muzyka", wydało obecnie monografję zbiorową p. t. **„Józef Piłsudski i jego legjony w muzyce i pieśni"**. Bardzo ciekawa to książka i wysoce wartościowa, przynosi wiele oryginalnego, zapomnianego lub nieznanego materjału.

W wspomnianej monografji znajdujemy duży materjał nutowy do pieśni legjonowych i poematów muzycznych, poświęconych Czynowi Piłsudskiego. Najciekawsze są może te prace monografji, które mówią nam o tem, jak powstały dwie najpopularniejsze pieśni legjonowe „Pierwsza Brygada" i „Kadrówka".

Marsz Pierwszej Brygady „Legjony to żołnierska nuta" ma bardzo ciekawą historję. Melodję tę usłyszały Legjony po raz pierwszy w Kielcach w r. 1914. Nazywano tę melodję Marszem Nr. 10. Przez długi czas sądzono, że tekst Pierwszej Brygady jest pochodzenia anonimowego. Dopiero, gdy w r. 1924 na Zjeździe Legjonistów w Lublinie Marszałek Piłsudski powiedział, że „My pierwsza brygada" to najdumniejsza pieśń, jaką kiedykolwiek Polska stworzyła, żołnierz pierwszej brygady, Tadeusz Biernacki, wyznał, że stworzył tę pieśń 17 lipca 1917 roku w najcięższym momencie swego życia, gdy wraz z towarzyszami broni zsyłany był do obozu jeńców w Szczypiórnie. Tekst piosenki nagiął do melodji Marsza Nr. 10 i tak powstała „Pierwsza Brygada".

(swb)

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 11 sierpnia 1935.

9.20: Transmisja Uroczystości „Święta Gór" z Zakopanego.
12.03: „W europejskiej dzielnicy Kairu".
14.00: Muzyka salonowa w wyk. Ork. Marka Webera.
15.35: Utwory na ksylofon z towarzyszeniem orkiestry.
16.45: „O reportażu w literaturze".
18.30: „Cała Polska śpiewa" — Transmisja z Zakopanego.
19.25: Utwory wiolonczelowe w wykonaniu Caspara Cassado.
19.50: „W aucie policyjnem w Chicago".
21.00: R. Schumanna: Phantasiestücke op. 88.
22.00: Wiadomości sportowe.
23.05: Muzyka taneczna.

Poniedziałek, 12 sierpnia 1935.

12.05: Dziennik południowy.
12.15: „Dla naszych letnisk i uzdrowisk" — koncert.
13.00: Chwilka dla kobiet.
15.30: Zespół Pawła Rynasa i Zygmunta Ledermana.
16.15: Recital fortepianowy Aleksandra Kagana.
18.00: „Fotografja i kino" — odczyt.
18.45: Gitary hawajskie.
19.50: „Co czytać?"
20.55: „Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski".
22.00: Wiadomości sportowe.
22.10: Mała Orkiestra P. R. pod dyr. Zdzisława Górzyńskiego.

Wtorek, 13 sierpnia 1935.

12.15: Muzyka wokalna w wyk. artystów scen włoskich.
15.15: Przegląd giełdowy.
16.50: „Powietrzna eskapada" — nowela Zdzisława Marynowskiego.
17.00: „Dla naszych letnisk i uzdrowisk", „Trochę muzyki wiedeńskiej".
19.00: „Dokąd jechać w święta?".
19.30: Utwory fortepianowe Ludomira Różyckiego w wyk. kompozytora.
20.10: Muzyka duńska.
21.00: „Piękny sen" — operetka Leo Falla.
22.30: Wiadomości sportowe.
22.40: Mała Orkiestra P. R.

Środa, 14 sierpnia 1935.

12.15: „Dla naszych letnisk i uzdrowisk" — koncert.
13.00: Chwilka dla kobiet.
16.00: „Wakacje bez wyjazdu".
18.00: Skecz p. t. „Pani wraca z letniska".
18.50: Stare walce.
20.10: Pogadanka rybacka.
21.00: Koncert Chopinowski w wykonaniu Stanisława Szpinalskiego.
22.00: Wiadomości sportowe.
23.05: Muzyka taneczna.

Czwartek, 15 sierpnia 1935.

10.00: Muzyka operowa w wykonaniu znakomitych orkiestr zagranicznych.
10.30: Transmisja Nabożeństwa.
12.20: Poranek muzyczny.
16.15: Orkiestra Reprezentacyjna Przysposobienia Wojskowego Dyrekcji Krakowskiej.
16.50: Zygmunt Nowakowski — nowela.
18.00: O książce Vowlesa „Człowiek i siły przyrody".
18.45: Muzyka lekka.
20.30: Marsze wojskowe (płyty).
20.55: „Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski".
21.00: Koncert symf. w wyk. Orkiestry P. R. pod dyr. Grzegorza Fitelberga, oraz Wiktora Bregy (tenor).
22.00: Wiadomości sportowe.
22.20: Mała Orkiestra P. R.

Piątek, 16 sierpnia 1935.

12.15: „Dla naszych letnisk i uzdrowisk" — koncert.
13.00: Chwilka dla kobiet.
13.05: Muzyka operetkowa.
16.00: „Gospodarcze znaczenie badań życia wód słodkich" — odczyt.
16.15: Koncert w wykonaniu Orkiestry Tadeusza Seredyńskiego.
16.50: „Opowiadanie" — Michała Choromańskiego.
18.00: „Na terenach popowodziowych" — reportaż, wygł. płk. Tadeusz Tomaszewski.
18.45: Muzyka lekka.
21.00: Koncert symfoniczny w wykonaniu Orkiestry P. R. pod dyr. Grzegorza Fitelberga.
22.00: Wiadomości sportowe.
22.10: Muzyka salonowo-taneczna.

Sobota, 17 sierpnia 1935.

12.15: Muzyka Wschodu.
13.05: „Najprawdziwsze tanga"— Zespół tangowy pod dyr. Ignacego Stolowa.
14.30: Nowości z płyt.
15.25: „Nasz handel morski".
16.15: Recital wiolonczelowy Marjana Neuteicha.
116.50: „Wywiad" — humoreska K. Makuszyńskiego.
18.00: Poradnik sportowy.
18.45: Muzyka lekka.
20.10: Mała Orkiestra P. R.
21.30: Koncert w wyk. Orkiestry P. R. pod dyr. Olgierda Straszyńskiego.
22.00: Wiadomości sportowe.
22.30: Muzyka lekka.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A.